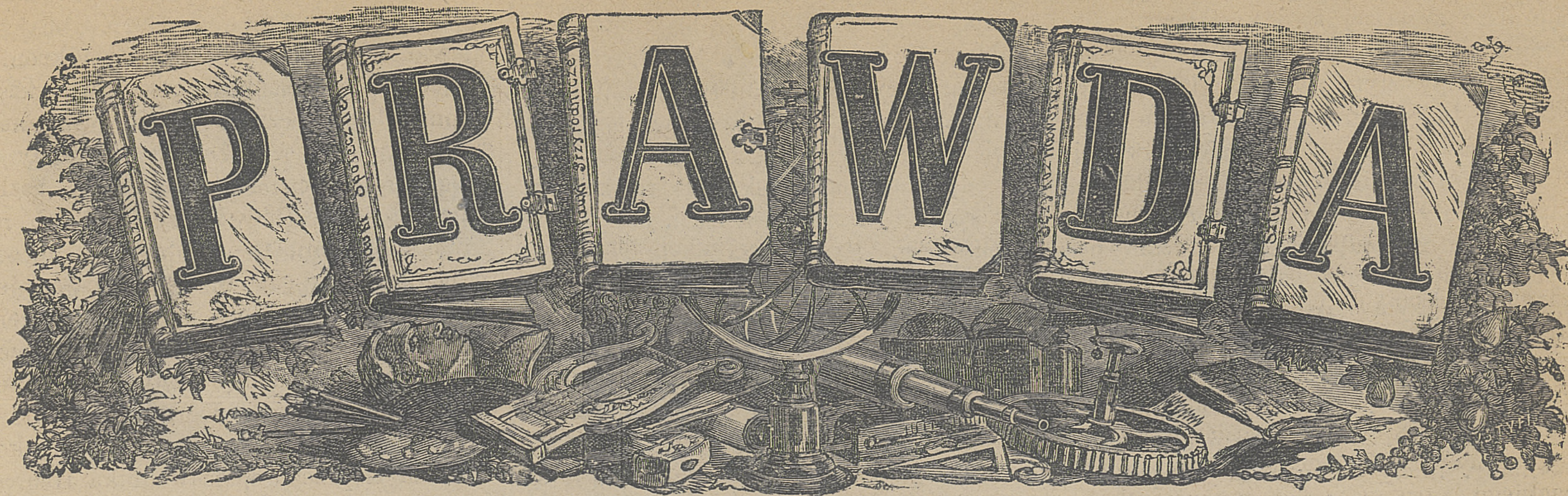
№ 4. Warszawa, dnia 22 (10) Stycznia 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Z powodu wyczerpania całego dotychczasowego nakładu „PRAWDY," nowoprzybywający abonenci zechcą nam wybaczyć pewne opóźnienie w dostarczeniu im numerów poprzednich, które za dni kilka odbijemy w drugiem wydaniu.

POLITYKA PRZEDMURZA.

Idea ludu wybranego, przenikająca dzieje nasze zwłaszcza od chwili, gdy nasze prawa do niej bardzo zmalały, musiała logicznie zrodzić ideę konieczności naszego istnienia dla Europy. Dopóki byliśmy silnem, dzielnem, oświeconem państwem, dopóty nie koronowaliśmy się nimbusem boskiego posłannictwa i nie wyszukiwaliśmy w potrzebach świata racyi naszego bytu. Racya ta tkwiła w naszem łonie, w poczuciu duchowej i materyalnej siły, w zdolności utrzymania się przy życiu. Dopiero gdy utraciliśmy tę siłę i zdolność, zaczęło coraz bardziej wzmagać się złudne przekonanie o naszej szczególnej missyi i niezbędności dla innych narodów. Przekonanie to, zależnie od warunków a właściwiej nieszczęść, zmieniało swoje postacie. Uważaliśmy siebie albo za wał ochronny chrześcijaństwa przeciwko falom machometanizmu, albo za mur cywilizacyi, broniący ją od wschodniego barbarzyństwa. Tworzyliśmy w własnem mniemaniu forteczny okop, który strzegł Europy od naporu Azyi, i wierzyliśmy mocno, że owa tak osłaniana Europa przez wdzięczność i dla własnego bezpieczeństwa nie pozwoli nigdy zburzyć swej najważniejszej warowni. A jakkolwiek skutki dowiodły, że ona wcale się nie troszczy o swoje „przedmurze," że bez nas się obejdzie i nie poczuwa się do żadnych obowiązków, że ten sam Wiedeń, który hufce Sobieskiego tak rycersko zasłoniły przed nawałą turecką, nie miał później nic dla swych obrońców prócz krokodylich łez Maryi Teresy—nie przestaliśmy mimo to wszystko uważać się za główny, najdalej wysunięty fort cywilizacyi chrześcijańskiej i warunek spokoju świata.

Wydobywać z historyi złudzenia przodków, rozwieszać je przy świetle dojrzalszego rozumu i pouczających doświadczeń, wykazywać w nich spłowiałe i przetarte miejsca — bardzo łatwo. Nie przedsiębierzemy tej lekkiej roboty, bo zadaniem naszem nie jest ani najgrawanie się, ani wygrażanie przeszłości; sądzimy jednak, że, gdy przechowana z niej a wielokrotnie przez skutki osądzona idea dźwiga się i pragnie znowu być drogowskazem kierunku życia obecnego, wolno i należy wykazać jej omylność.

Pomimo całej bezzasadności naszego wyobrażenia o swem czy politycznem, czy religijnem posłannictwie, przyznać trzeba, że w niem były pierwiastki szlachetne. Zawierało ono w sobie oddźwięk dawnej mocy, naiwną wiarę w idealne zasady i uczucia świata, pamięć o wyświadczonych mu usługach, wreszcie naturalne ukojenie głębokiej rozpaczy. Naród, który kiedyś istniał samodzielnie i dotrzymywał kroku najoświeceńszym, który ciągle oddychał atmosferą rycerskiego honoru, który nieraz posuwał się aż do lekkomyślnej bezinteresowności, który nagle stracił grunt pod nogami, słowem, który nie czuł się prochem, nie mógł skruszony posypać głowy popiołem i wyznać, że w proch się obróci. On musiał ująć i usypiać swój rozum iluzyą posłannictwa i zmartwychwstania dla odkupienia rodu ludzkiego. O ile wszakże taka maligna jest naturalną i konieczną w chwilach bezprzytomności schorowanego społeczeństwa, o tyle ustąpić winna, gdy ono do zdrowia przychodzi. Bez wątpienia, dzięki żywotnym siłom naszego narodowego organizmu pozbyliśmy się wielu nawet bardzo przyjemnych rojeń; ale obok ludzi zupełnie trzeźwych lub znacznie otrzeźwionych, którzy na niezagojone rany przykładają balsamy, stoją jeszcze polityczni owczarze, przyprawiający zabobonne leki. Niedawno jeszcze czytaliśmy mowę pewnego polityka na zagranicznej uroczystości polskiej, gdzie autor, wykazawszy Europie konieczność utrzymania swego „przedmurza," wzniósł toast na cześć... niemców, którzy dotąd tylko skutkiem niezrozumienia własnego interesu nie otaczają nas swem skrzydłem i którzy niezadługo w braterskim uścisku pójdą wspólną z nami drogą. Czy można mieć wzrok krótszy, czy można, wobec ostatnich drgnień narodowości polskiej w Prusach, prorokować takie przymierza? Gdyby przynajmniej podobne, szczere czy udane, wiwaty opłacały się nadrobniejszą korzyścią; gdyby chociaż na minutę osłabiły rękę germańską, duszącą gardło polskie! Nic—puste słowa przelatują bez odgłosu, nie potrącają ani o jedną czułą stronę tych, na których serce spadły, chyba o strunę szyderstwa. Po każdej bowiem podobnej salwie ucałowana Germania parska śmiechem, drwiąc z obłąkanych Learów polskich, którzy w niej widzą swoją najukochańszą Kordelię. I nie może być inaczej. Wystawmy sobie niemca, dla którego Bismark jest Atlasem, dźwigającym świat cały na barkach a polak drobnym robakiem, ofiarującym olbrzymowi swoją pomoc — czem ona mu się wyda? Oszczędzamy czytelnikowi przykrej odpowiedzi.

To też przypatrując się podobnym widokom, uczuwamy zawsze głęboką, nieopisaną boleść. Każdy prawie z nas łatwiej zniesie utratę majątku, swobody, nawet drogich mu istot, niż utratę czci, poniewierkę imienia. W podobnej kolei i sile budzi uczucia los narodu. Żeśmy postradali samodzielność, żeśmy przeszli przez chłostę klęsk i zawodów, że nas opasał wianek mogił — wszystko to, choć straszne, mniej boli, niż ten przeszywający chichot

prasy niemieckiej, którym ona przyjmuje najczulsze z naszej strony odezwy. Ta ubrana w łachmany duma, kumająca się wiecznie z pysznym dostatkiem, który ją odtrąca; to daremne zwoływanie wojen krzyżowych na obronę ziemi świętej, w której nikt nie widzi swego zbawienia; te głosy na puszczy, która im nawet echem nie odpowiada, ta cała polityka europejskiego „przedmurza" jest najokropniejszym obrazem, jaki może się przesunąć przed oczyma narodu. Bo i na cóż się zdały wszystkie nasze chęci zabezpieczenia Europy, kiedy ta Europa nas nie potrzebuje? Na co składamy jej coraz nowe oferty, kiedy one nam nic nie przynoszą, prócz upokorzenia? Było w tem nieco przesady, ale i nieco prawdy, gdy sama Polska nazywała się „przedmurzem" cywilizowanego świata; dziś jednak ani niem nie jest, ani być nie może od czasu, jak ów świat cywilizowany dalej posunął swoje granice. Jeśli więc dawne posłannictwo było istotnem, to obecnie pozostał z niego tylko frazes, puste słowo, które nie odpowiada rzeczywistości i nikogo nie przekonywa. Z tym wszakże łączy się wzgląd inny. Przypuściwszy nawet, że naród nasz jest istotnie aniołem stróżem u bram europejskiego raju, czy jego życie powinno być tylko służbą u innych? Czy rozum pozwala mu przenosić punkt ciężkości po za obwód własnych interesów? Czy nie właściwiej i pewniej prawa bytu oprzeć na swoim gruncie? Barbarzyniec tylko rozśmieje się ze społeczeństwa, które mimo politycznej zależności mówi o sobie: myślę więc jestem; ale rozśmieją się wszystkie państwa, gdy ono do nich zawoła: potrzebujecie mnie, więc jestem. Kto potrzebuje? kto woła? kto o pomoc wzywa—w rzeczywistości, nie zaś w snach naszych? Nikt—ani cywilizacya, ani chrześcijaństwo na gwałt nie biją, a jeśli biją, to nie w naszą stronę.

Porzućmy więc zwodną myśl, że jesteśmy koniecznym warunkiem równowagi europejskiej, niezbędną groblą, powstrzymującą fale azyatyckiego barbarzyństwa, przedmurzem świata; ani turcy, ani tatarzy, ani inne dzikie ludy nie posuwają swoich zagonów a my nie potrzebujemy ich odpędzać; europejska zaś równowaga jest równie czczym wyrazem, jak polskie przedmurze. Są to tylko poetyczne przenośnie politycznego języka. Gdyby świat cały zaczął się kiedyś obracać na osi pruskiego bagneta i tylko jeden Madagaskar lub Sumatra nie weszły do jego systematu—i taki nawet układ państwowy nazywałby się równowagą polityczną. Jest nią bowiem wszelka istniejąca postać stosunków międzynarodowych; jest nią mysz obok kota, wilka, jaguara i boa; ale gdy kot zje mysz, wilk—kota, jaguar—wilka a boa jaguara—równowaga nie przestaje być wcale naruszoną, chociaż wszystkie zwierzęta wlezą w jeden najobszerniejszy żołądek. To tylko okaże się koniecznem dla utrzymania harmonii, które posiada do obrony tęgie kły i ostre pazury. Takimi kłami i pazurami są dla nas środki cywilizacyi, stanowiącej najpewniejsze „przedmurze." Bóg nas nie stworzył na pociechę i obronę ani niemców, ani francuzów i włochów, ani anglików, ale narodziliśmy się i powinniśmy żyć sami dla siebie. Nie z tego wywodzić należy racyę i prawo istnienia polaków, że bez nich Europa spokojnie zasnąć nie może, że oni najwierniej pilnują jej stodół i spichrzów, ale z tego, że są, są sami dla siebie, że tworzą odrębny, dość liczny naród, że posiadają własną, dość wysoką cywilizacyę, która zasila ogólny postęp ludzkości i wzbogaca go ważnymi, oryginalnymi pierwiastkami. Czyje domagalnie się życia płynie z tych źródeł, tego rozumie i ostatecznie uszanować może świat cały. Ale kto prawi o „przedmurzu," kto prawa swoje usprawiedliwia tem, że się chce położyć i czuwać na progu niezagrożonej Europy, którą dostatecznie strzeże las karabinów, ten w niej nawet litości nie wzbudzi. Litością cudzą karmiliśmy się tak długo, że ona aż nas wycieńczyła; może szyderczy śmiech, który teraz spożywać nam każą, nauczy nas karmić się własną, ciężko zdobytą prawdą. Bodajbyśmy jak najprędzej dożyli tego czasu, kiedy każdy polak przestanie być samochwalcą a zacznie być samolubem; kiedy w własnej piersi a nie cudzej kieszeni dojrzy racyę bytu, kiedy nie w roli „przedmurza" Europy, ale w własnej cywilizacyi narodowej będzie widział swoją chwałę.

A. S.

REFORMACYA KATOLICYZMU.

Reformacya katolicyzmu? Napozór z pomiędzy tych dwu wyrazów wyskakuje sprzeczność. Tak przyzwyczailiśmy się widzieć w katolicyzmie systemat stały, przed wiekami skrzepły i od chwili swoich narodzin niewzruszony, że nie przypuszczamy, ażeby on się rozwijał i przekształcał. Pod wyrazem *reformacya* pojmujemy tylko protestantyzm. A jednakże i ten, z pozoru nieruchomy systemat, chociaż powoli, przebudowywał się, restaurował, zmieniał swoje podstawy i wiązania. Rzecz naturalna, że historycy katoliccy, którym wiele zależało na podtrzymaniu w swej religii charakteru niezmienności, niechętnie odsłaniali przed światem widok jej wstrząśnień i ulepszeń. Uczynić to mogli tylko ludzie religijnie obojętni lub stojący zewnątrz sfery interesów kościoła. Do nielicznych w tym kierunku usiłowań przybywa nowe, najpoważniejsze. Protestant z Bonn, Wilhelm Maurenbrecher około dwudziestu lat już zajmuje się studyami nad reformacyą katolicką. Wynikiem znakomitego oczytania, gruntownej krytyki i niezwykłej bezstronności jest pierwszy tom wielkiego

---

Z KRONIKI MŁODOŚCI.

ONA.

(Dalszy ciąg patrz Nr. 3).

Upłynął miesiąc i Bukowskiego nie spotkałem ani razu. Nareszcie pewnej soboty wybrałem się na koncert do Doliny Szwajcarskiej. Grano symfonię, więc osób było niewiele. Przeglądając szczupłe ich grono, spostrzegłem z boku przy estradzie Bukowskiego. Siedział on zasłuchany w muzykę, od czasu do czasu jednak zwracał spojrzenia w jeden punkt i długo je na nim zatrzymywał. Bez trudu wyśledziłem, że w środku Doliny, w towarzystwie dwu matron i jednego mężczyzny znajdowała się taż sama kobieta, którą spotkaliśmy na ulicy. Zająwszy dość bliskie miejsce, mogłem jej się uważnie przypatrzyć. Przeliczyła już zapewnie lat dwadzieścia kilka. Na wysmukłej, foremnie zaokrąglonej postaci kołysała się swobodnie, choć poważnie, cudowna głowa. Ciemne włosy pieściły otwarte i rozumne czoło, pod niem głębokie, czarne, może kiedyś swawolne, ale dziś tylko łagodnie rozmarzone oczy płonęły tym miłym blaskiem; który więcej ogrzewa niż parzy. Ruchliwe nozdrza delikatnie zarysowanego nosa zdradzały czujną wrażliwość, a przelatujący po wązkich ustach i często niknący uśmiech zdobił je nieujętym w słowo czarem. Nikt nie nazwałby jej twarzy smutną, a jednakże pogodny jej wyraz rozpływał się często w jakiemś poważnem zamyśleniu. Było to poważne zamyślenie, czyż też tylko ów złudny wdzięk pięknych głów niewieścich, który nieraz zdobi największą ich pustkę? Głowy te bowiem są podobne do pięknych kwiatów, na które patrząc zdala, jesteśmy przekonani, że barwne ich korony wydają z siebie najrozkoszniejszą woń, gdy tymczasem one po bliższem zbadaniu okazują się bez żadnego zapachu. Tak samo zwodziła może i twarz uroczej nieznajomej? Ja jednakże w jej piękności widziałem niezwyczajny rozum, widziałem z chmur jej czoła przedzierające się oczami błyskawice uczucia, widziałem wszystko, co tylko bogowie i boginie Olimpu, złożywszy swe najcenniejsze dary na stworzenie arcydzieła natury, zaofiarować mogą.

Nagle śród tych rozmyślań poczułem na ramieniu lekkie dotknięcie. Po za mną stał ironicznie uśmiechnięty Bukowski.

— Jakże ci się podobała ta.... symfonia? spytał.

— Bardzo piękna—odrzekłem, budząc się z rozmarzenia. Siądź przy mnie, ztąd lepiej... słychać.

— Za blisko—zresztą przerwa w koncercie—przejdźmy się po ogrodzie.

— Chętnie. Wyszliśmy w odległą aleję. Bukowski milczał, nucąc jakiś motyw z odegranej symfonii.

— Lubisz muzykę? zapytałem.

— O ile mi nie przeszkadza—odrzekł krótko i dalej nucić zaczął, widocznie jednak czem innem zajęty.

Mijające nas grupy osób nastręczyły materyału do kilku spostrzeżeń, z których przecież nie mogła się spleść ciągła rozmowa. Wreszcie zaczęto grać.

— Zostajesz jeszcze? zagadnął mnie nagle Bukowski.

— Zapewnie—odpowiedziałem, nieprzygotowany na to pytanie.

— Ja idę do domu—rzekł stanowczo.

— Zatem do widzenia.

Rzeczywiście wyszedł z Doliny, chociaż sądziłem, że tylko chciał się ze mną rozłączyć. Co go wypędziło? Czy jakieś przykre wrażenia, czy moja obecność? Zły na siebie, że mimowoli sprawiłem mu może przykrość, wkrótce opuściłem również koncert.

I znowu na kilka tygodni Bukowski zniknął mi z oczu, jakkolwiek nie ustąpił z pamięci. Jednego dnia wreszcie, potrzebując kupić sobie jakieś dzieło, udałem się do księgarni, w której on pracował. Zastałem go zmienionym, jak gdyby chorym, ale jednocześnie cieplejszym dla mnie, niż zwykle. Narzekał na zajęcia mechaniczne,

dzieła Maurenbrechera p. t. *Dzieje katolickiej reformacyi* [1]), którą autor przypisuje swemu uniwersyteckiemu słuchaczowi, księciu Wilhelmowi Pruskiemu. Tylko istotny znawca przedmiotu zdoła dokładnie ocenić, jak długą i mozolną drogą dochodził autor do swego celu, zwłaszcza że nie znać tu wcale naukowego rusztowania, owszem całą pracę osłania forma żywa i ujmująca. Odznacza się ona orginalnym poglądem, prawdziwie historyczną przenikliwością tak, że najzupełniej się różni od tego rodzaju studyów, kutych ciężkim młotem przez teologów wszelkich wyznań.

Na pierwszym planie swego obrazu, w oświetleniu ówczesnych stosunków cywilizacyi, nakreślił autor wyraziście wspaniałą postać głównego bohatera reformacyi katolickiej XVI w. — Erazma Rotterdamskiego.

Wielu przed Erazmem występowało do boju z chorągwią kościoła, żaden jednak nie posiadał dostatecznych po temu warunków. Największem powodzeniem uwieńczyły się usiłowania Hiszpanii. Gdy tam przytarto nadmierne nadużycia papieskie, gdy na urzędach kościelnych zaczęto osadzać jedynie ludzi szczerze religijnych i rzetelnie uczciwych, gdy podniesiono naukowe wykształcenie księży i poddano ich kontroli państwa—pomyślne skutki tej energii, wcielonej zwłaszcza w kardynała Ximeneza, chybić nie mogły. Mniej szczęśliwemi pod tym względem były Włochy. Walce chrześciańskich humanistów, jak Pica Mirandoli, nie towarzyszyło współczucie narodu; porywające zaś uniesienia i gorączkową działalność Hieronima Savanaroli stłumił Aleksander VI, „bohater ludzkich sprosności.“ Zbyt pamiętne są nam, na nieszczęście udaremnione zabiegi Zygmunta Augusta i krzewicieli idei kościoła narodowego w Polsce, ażebyśmy je tu potrzebowali szeroko przypominać. W Niemczech ruchy reformacyjne zamykały się długo w małych kołach ludzi wykształconych—brakowało tu osobistości, porywającej za sobą tłumy. Geiler z Kaisersbergu, strasburski kaznodzieja nie dźwignął zadania przywódcy. Przeciwnie, teorya o nieomylności papieskiej, dzięki jemu, nanowo obchodziła świetne tryumfy. Wznowiono Bullę *Unam sanctam* Bonifacego VIII, z którą było związane zbawienie człowieka i jego poddanie się woli papieskiej. Wskutek tego jednak niechęć między niemcami wzrosła i ujawniła się najsilniej na zjeździe augsburskim (1516 r.). Aleksander, nuncyusz papieski, pojął dokładnie doniosłość tego usposobienia i wyraził je w słowach, że: „w Niemczech czekają, aby jakiś śmiałek wystąpił przeciw Rzymowi.“

Śmiałek taki się znalazł, i to jeszcze przed Lutrem, w osobie Erazma.

Pochodzenie jego wyjaśnili badaniami swemi Kaan, Fruin i Vischer. Ojcem Erazma był ksiądz, matką—księża gospodyni. Sam Erazm pochodzenie to swoje starannie tail, nie mógł on jednak wydostać się z duchownego koła. Intrygi chciwego opiekuna wciągnęły go do klasztoru. Tu poznał on ciemnotę, umysłowe prostactwo mnichów i ich nieewangieliczny żywot. To właśnie gruntowne poznanie kościelnych stosunków, znajomość nauk teologicznych, wreszcie gorące porywy religijnego uczucia nakreśliły mu drogę przyszłej działalności. Reformacyjnym ideałem Erazma było skierowanie chrystyanizmu ku celom prostym i szlachetnym, rozgrzanie i ożywienie wystudzonego i zamarłego chrześciańskiego uczucia, oraz przeniesienie istoty religii wyłącznie w dziedzinę pobożności praktycznej, w dziedzinę czynów.

Całym szeregiem swych pięknych prac starał się Erazm wyjaśnić i duchowo podnieść stanowisko kościoła. Świetne, nader budujące dzieło: *Enchiridion militis christiani* streszcza w sobie całe niemal jego wyznanie wiary. Dogmata i religijno-filozoficzne teorye pomija i zachowuje się względem nich bardzo chłodno. Powstaje przeciw pobożności, opartej na ceremoniach i obserwowaniu form zewnętrznych; uderza na nadużycia, przesądy, ciemnotę i zepsucie mnichów—wypowiada nadzieję, że poważne, naukowe studya doprowadzą do rozsądnej religijności. Negatywna strona wystąpień Erazma, polemika z duchowieństwem i mnichami, urąganie scholastyce, wycieczki jego przeciw formalizmowi i praktyce kościelnej—największy zyskały poklask. Pod pewnym też względem mają słuszność prawowierni, gdy opierając się na tych dowodach, czynią Erazma odpowiedzialnym za późniejsze porażki kleru. Głęboka i rozległa wiedza tego reformatora, świecącego słonecznemi promieniami na widnokręgu nauki, oślepiała współczesnych, przykład zaś porywał tysiące i budził tęsknotę za innymi, ewangielicznymi stosunkami.

Wkrótce potem nastąpiły nowe, nader wiele obiecujące wypadki. Jeden z najdzielniejszych przyjaciół reformacyjnej idei, Adryan z Utrechtu został (1522 r.) papieżem. Adryan VI, jako poseł w Hiszpanii, przyłączył się najzupełniej do hiszpańskich reformatorów: Caraffa, Jan z Toledo, Tommaso Gazella byli jego towarzyszami. Po tym papieżu spodziewano się szybkich zmian. Postanowił on z całą energią oczyścić dwór papiezki z rozpusty i poganizmu, aby położyć koniec całemu odpustowemu gospodarstwu. We Włoszech a nawet w samym Rzymie znalazł Adryan sprzymierzeńców. Wpływ nauk Savanaroli okazał się potężnym. „W Akademii duchownej“ schodzili się poważni i surowsi ludzie dla ukrócenia niemoralnych nadużyć kleru. Adryan w krótkim czasie ściągnął na dwór swój wyznawców tego kierunku; nie brakło tam również i zbawiennych rad Erazma.

Wszelako silniejszą od dobrej woli papieża okazała się moc istniejących stosunków. *Praktycy* dowodzili niemożliwości finansowego zarządu, jeśli papież skasuje najważniejsze źródła dochodów. Argument ten, który już tyle rozciął węzłów gordyj-

[1]) Nördlingen, Beck 1880 r 417 str.

---

nieodpowiadające jego usposobieniu, mówił o powrocie do archiwum a przedewszystkiem prosił, ażebym go często odwiedzał. Odwiedzałem go też prawie codzień, pociągany nieprzepartą siłą, która powoli splatała między nami węzeł serdeczniejszego stosunku. Raz—było to w styczniu—umówiliśmy się pójść nazajutrz do teatru. Jak zwykle przybyłem wieczorem do księgarni, i podczas gdy Bukowski załatwiał interesantów, ja przeglądałem na boku świeże wydawnictwa. Właśnie miałem mu zwrócić uwagę, że już pora widowiska się zbliża, gdy do księgarni weszły dwie kobiety. Jedna z nich była to dobra moja znajoma, pułkownikowa Rubowicz, która straciwszy męża w Kijowiei mowę ojczystą, powróciła do kraju, ażeby odzyskać przynajmniej to, co się odzyskać dało. Mimo późnego wieku i otyłości czynna, wiecznie zajęta wielkiemi i małemi sprawami miejscowego życia, gromadziła obok siebie dość liczne towarzystwo, w którem i ja kilkakrotnie się znalazłem. Opadły na krzesło zmęczona, rzekła do Bukowskiego widocznie skażoną polszczyzną:

— Pozwólcie mnie panio, kilka świeżych walców Straussa.

Henryk przyniósł paczkę nut i rozłożył je przed pułkownikową. W tej chwili druga, przybyła z nią kobieta podniosła z twarzy gęstą, czarną woalkę i zbliżyła się do stołu. Bukowski zbladł, ja omal głośno nie objawiłem zdziwienia. Była to bowiem *ona*.

— Czy mogę dostać u panów *Życie zwierząt* Brehma?

— A tobie na co, milenka? zawołała pułkownikowa.

— Chowam koty—odrzekła, śmiejąc się nieznajoma

Spojrzałem na Bukowskiego. Stał blady, usta mu drżały, oczy świeciły gorączkowo, a twarz wyrażała jakąś nieprzytomność.

— Czy więc macie panowie Brehma? powtórzyła młoda kobieta.

Pytanie to otrzeźwiło go. Wyszedł do drugiego pokoju i przyniósł książkę.

— Com winna?

— Dwa ruble—odrzekł Henryk, zupełnie spokojny a nawet ironicznie uśmiechnięty.

Tymczasem pułkownikowa, mrucząc ciągle, wybrała kilka walców i kazała je sobie zapakować. W tem dostrzegła mnie.

— Chwyciliśmy — zawołała podbiegając—ukryć się pan chciałeś, ha? Ślicznie, *comme il faut* młodzieniec! Dom mój omija i przywitać nawet przy spotkaniu nie raczy.

— I owszem, pani... probowałem się tłomaczyć.

— Nie wykręcicie się, jak wiun—przerwała. No, otwarcie, dla czego pan u mnie nie byłeś tak długo?

— Zajęcia....

— Znam ja wasze zajęcia, ale już prosić nie zacznę. U mnie łaska życzliwych znaczy dużo, a niełaska nieżyczliwych—mało. Przed bramą nie stanę i łapać dobrodzieja nie będę.

— Ależ najchętniej — kiedy pani pozwoli.

— Ze słów sznur do nieba ukręcisz, a na dach po nim nie wleziesz. Pozwolenia nie potrzeba, pan wiesz, że u mnie co wtorki drzwi dla znajomych otwarte. Jeśli więc chcesz mnie przekonać, nie gadaj dziś, tylko przyjdź jutro.

To rzekłszy, odbiegła, wzięła nuty i kłaniając mi się zdaleka, dodała ciszej we drzwiach, puściwszy naprzód swoją towarzyszkę:

— W nagrodę poznam pana z ładną kuzynką.

Wyszła. Bukowski popatrzył długo na mnie, potem w okno, wreszcie rzekł drżącym głosem:

— Nie mam chęci iść do teatru, ale poszedłbym do ciebie.

— Dobrze.

Za chwilę byliśmy na ulicy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W. Okoński.

skich, uciszył także reformacyjne dążenia Adryana. Grosz piotrowy pokonał ideę postępu—papieskiego. W trzydzieści lat po śmierci Adryana nowy papież wstąpił w jego ślady.

W Niemczech katolicka reformacya powieść się nie mogła wobec literackiej działalności Lutra, która pociągała za sobą zarówno uczonych jak i masy. Należało koniecznie pobić wittenberskiego teologa na arenie pisarskiej, brakowało jednak na razie równie silnego zapaśnika. Po dość długim czasie Erazm z Roterdamu, wzywany i nieledwie zmuszony, wystąpił do literackiego turnieju. Na pytanie, który z dwóch reformatorów zwyciężył, odpowiada Maurenbrecher: walka pozostała między nimi nierozstrzygnięta. Mimo opozycyi fanatycznych katolików przeciw Erazmowi,—gdyż nawet fakultet teologiczny w Paryżu ogłosił potępiający go wyrok—zdołał on wielu odciągnąć od nauki Lutra i wrócić ich staremu kościołowi. Wobec ciągłych sporów i gwałtownych obustronnych napaści najznaczniejsi ludzie zwracali spojrzenie do Freiburga, gdzie bawił Erazm; gorąco pragnęli oni widzieć go, jako pokojowego rozjemcę na niemieckim sejmie. I rzeczywiście, nikt nie był odpowiedniejszym i zdolniejszym wówczas do podjęcia podobnego zadania. Jednakże ani cesarz, ani jego ministrowie nie zwrócili się w tym celu do Erazma; ten zaś nigdy nikomu się nie narzucał.

Wkrótce też rozpoczęła się walka umysłowa, w której znaczny udział znowu bierze Erazm. Teorye jego zaczęły się wcielać. W księstwie Cleve-Jülich zwyciężyły jego projekta w stosunkach kościelnych. Wydano nowe kościelne prawo w 1532 r. najzupełniej w duchu idei pokoju, umiarkowania i prawdziwego chrystyanizmu Erazma. Idea ta jednak zbudziła dwustronny opór, gdyż nie była ani katolicką ani protestancką. Śmiały i rozumny przedstawiciel katolickiej reformacyi spotykał niezwalczone przeszkody; jego łagodne, napominające, pojednawcze teorye przebrzmiały śród klątew stronników dawnego porządku rzeczy, wobec posuwających się naprzód zwolenników gwałtownego przewrotu. Luter nazwał pracę Erazma „łataniną, zlepkiem skorup.“ Umiarkowane jednak stronnictwo Erazma było silne: Moguncya, biskupi augsburscy, Bazylea, Strasburg, a przedewszystkiem książę Jerzy saski stali wiernie pod sztandarem roterdamczyka. Wszelako papież powstrzymywał zarówno koncylium jak i reformacyę. Arcykatolicki książę Jerzy saski nie bez słuszności osądził papieża, wyraziwszy się że: „gdy rzymski kościół traci dochód, uderzają wszyscy na gwałt, a gdy tysiące dusz ginie, pasterz w Rzymie mało się o to troszczy.“ W podobnem położeniu reformacya katolicka nie zdołała ani przekształcić kościoła, ani położyć tamy nowym kościelnym przewrotom. Ten to ciekawy obraz mieści się w ramach książki Maurenbrechera. Ukazał się dopiero tom jej pierwszy, poświęcony głównie Erazmowi. Być może, iż w dalszym ciągu dzieła zajmie się autor i reformacyą katolicyzmu w Polsce, która również podjęła ważne, niestety udaremnione zadanie. *W. Z.*

BOLESŁAW CHROBRY.

POD PIÓREM DYTMARA.

II.

Pierwszą wieść o naszym bohaterze znajdujemy w rozdziale 19 księgi IV. Apostoł Wojciech pada ofiarą barbarzyństwa prusaków. Bolesław, syn Mieszka wyprawia do nich posłów a głowę i szczątki męczennika pieniędzmi okupuje. Bunty słowian nadelbiańskich ponawiają się. Cesarz odpowiada na nie przedsiębranemi z dzielnicy saskiej, a pustoszącemi ojczyste ich gniazda ekspedycyami (20). Drugim z kolei epizodem, jaki się bezpośrednio do przedmiotu naszego odnosi, jest szczegółowa opowieść o pielgrzymce Ottona III do grobu ś-go Wojciecha. „Bolesław wybiegł na spotkanie władcy i prowadził go do miejsca, zwanego Ilwa, gdzie z przysposobionem ugoszczeniem na niego oczekiwał. Z jaką wspaniałością cesarz podejmowany był od niego i aż do Gniezna prowadzony, nie jest to do wysłowienia, ani do uwierzenia prawie. Niezwłocznie Otton arcybiskupstwo tamże postanowił.“ Otrzymawszy od księcia, między innymi upominkami, 300 kiryśników w darze, opuścił Gniezno i udał się ku Saksonii wraz z Bolesławem, który mu aż do samego Magdeburga towarzyszył (28). Wkrótce potem nastąpiła nieszczęsna wyprawa do Włoch i śmierć cesarza (30). Pod dobę rządów Ottona napadli słowianie na klasztor w Hilleslewie (Hillersleben pod Magdeburgiem), spalili przybytek i uprowadzili z niego zakonnice (32).

Skon Ottona III pociąga za sobą zmianę stosunków państwowych między Germanią a Polską. Autor, mając w bliskiej przyszłości wspominać często o „wężu jadowitym,“ głównym „prześladowcy“ swego plemienia, poświęca kilka rozdziałów (35, 36, 37) jego gniazdu dynastycznemu. Mówi zatem o Mieszku i „Dobrawie,“ o nawróceniu się książęcia „polenów,“ („poleniorum ducis“), o wydaniu na świat syna „wyrodnego“ (Bolesława), o powtórnem małżeństwie Mieszka, z Odą zakonnicą, o zasługach apostolsko-chrześciańskich tej mniszki-księżnej, o wstąpieniu na tron Bolesława, który zostawione przez ojca do podziału państwo—„wygnawszy macochę i braci a pozbawiwszy wzroku rycerskich mężów Odiliena i Pribuwoja, z lisią chytrością w jedno połączył,“ o żonach wreszcie i potomstwie znienawidzonego księcia.

Ks. V. Ekkihard, margrabia Misnii, jeden z przeciwników wstępującego na tron Henryka, a zarazem współzawodnik naszego piasta, pada w Pölden ofiarą zdrady. Książe polski, ów „tak dalece niższy od ojca“ wyrodek, na wieść o wypadku, wkracza do Łużyc, a nie szczędząc zachodu i złota, zdobywa Budyszyn, Strelę, Misnię, opanowywa wreszcie cały kraj aż po rzekę Elstrę i załogi swe po nim rozsypuje; gromadzącym się zaś ku odparciu najazdu niemcom „ów podstępny“ człowiek („dolosus ille“), oświadcza, że cokolwiek czyni, „za wiedzą i przyzwoleniem“ przyszłego władcy niemieckiego Henryka... Tu wyrywa się z piersi Dytmara gorzkie, arcypatryotyczne westchnienie, należące do najważniejszych dla nas miejsc kroniki. „Niech Bóg przebaczy cesarzowi, który dannika swego czyniąc udzielnym panem, podniósł go tak wysoko, iż, niepomny na uległą rolę ojca swego, dawniej rozkazujących sobie (mowa o murgrabiach misnijskich) ośmielał się zwolna obracać w podległość...“ (6). Nie zapominajmy jednak, że działo się to w przejściowej dobie zamętu (1002 r.), gdy nieustalony jeszcze na tronie pretendent z domu saskiego rozprawia się o koronę z Hermanem, dukiem Allemanii. Niebawem, pomimo przeszkód, stawianych przez współzawodnika, Henryk, przybywszy do Moguncyi, okrzyknięty został królem i otrzymał namaszczenie monarsze; spustoszył następnie dziedziczne posiadłości Hermana i podążył na Frankonię, Turyngię do Merseburga. W grodzie tym stanęli wkrótce z oświadczeniem uległości duchowni i świeccy wasale, a między innymi, obok Bernarda, duka saskiego, nasz książę Bolesław (9). Duk polski traktował o Misnię, ale jej nie otrzymał; dzielnice jednak łużyczan i milżeńców zostawiono przy nim nadal, jako włości lenne. Gdy z bogatymi dary, mając przy swym boku poróżnionego już z królem synowca dytmarowego, komesa Henryka, opuszczał dworzec monarszy, wynikło zdarzenie, które pod pewnym względem uważać można za węzeł dramatyczny w historyi zatargów Bolesława z Henrykiem II: tłum zbrojny zastąpił im drogę tak, że komes bawarski (Henryk) „ledwie z narażeniem życia własnego, przez wyłamanie bramy zewnętrznej, zdołał bezpiecznie towarzysza swego uprowadzić;“ żołnierze zaś, stanowiący poczet księcia polskiego, srodze obdarci i poranieni „uszli śmierci jedynie za wdaniem się duka Bernarda.“ Bolesław, wzruszony do głębi tym wypadkiem „niesłusznie“ (jak powiada Dytmar) uważał króla za sprawcę zamachu i na odjezdnem podał dłoń sprzymierzeńca komesowi Bawaryi, który wkrótce miał wystąpić w jawnej roli malkontenta. Dążąc spiesznie do ojczyzny, Bolesław podpala na cztery rogi miasto Strelę, wprowadza z sobą „mnóstwo okolicznych ziemian“ i rozsyła orędowników w celu odciągnięcia jak największej liczby znakomitszych jednostek od sztandaru królewskiego (10). Przechodzi następnie autor do spraw czeskich: mówi o krwawych czynach Bolesława Rudego, o przywołaniu Władyboja, o ucieczce tyrana na dwór ciotecznego brata „równego mu w zbrodniach, choć wyższego potęgą i o całej owej szybkiej grze następstw, uwieńczonych oślepieniem Rudego i wstąpieniem na tron czeski Bolesława, „władcy polan“ (15, 18). Król niemiecki, dowiedziawszy się o tem, zniósł postoicku cios doznany—wyprawił posłów do zdobywcy i przyrzekł uznanie dokonanych faktów pod warunkiem hołdu. Bolesław, dumny laurami, odprawił orędowników z oburzeniem. Zuchwalstwo słowianina nie złamało germańskiego władcy w Kwedlimburgu; ze zwykłą pogodą oblicza przyjmował poselstwo od lutyków i ratarów, skarbiąc sobie podarkami a obietnicami przyjaciół od strony północnej (19). Niebawem doniesiono mu o jawnym rokoszu duka Bolesława i komesa Henryka, z którymi połączyli się margrabia Ernest i brat królewski Bruno. Należało przede-

wszystkiem upokorzyć komesa bawarskiego, któremu pomagał zuchwały słowianin, a następnie zniweczyć, szerzej rozpostarte, sidła protektora. Wtargnął też król bezzwłocznie do dziedziny komesa Henryka i pustoszył ją bez litości (20, 21).

Bolesław tymczasem najechał Misnię, a gdy mu ją brat przyrodni, Guncelin, dobrowolnie wydać się obawiał, kazał posłów jego zatrzymać pod strażą, sam zaś przebywszy w bród Elbę, rozpuścił hufce na rabunek i niszczenie najbardziej kwitnącego powiatu, zwanego Głomacze. W odwrotnej przez rzekę przeprawie znaczna liczba najeźdźców zatonęła. „Inni bez szkody wróciwszy do domu, łupami się podzielili, panu swemu, co najlepsze ze wszystkiego, odłożywszy. Było tam zapewne około trzech tysięcy jeńca, a nawet, jak utrzymują ci, którzy na to patrzeli, daleko więcej“ (22). Stronnictwo malkontentów, z komesem Henrykiem i bratem królewskim Brunonem na czele, schroniło się na dwór najeźdzcy Czech, Bolesława (23).

Ks. VI. Bolesław „wpadł do Bawaryi i wielkie gwałty między jej mieszkańcami poczynił.“ „Król zaś po nieprzyjacielsku do ziemi milżyńców wtargnął,“ i tylko tamująca pochód, nagła rozciecz śniegów zupełnemu jej spustoszeniu przeszkodziła. Cofając się, w Misnii i innych grodach wzmocnił załogi, a za powrotem do Merseburga dowiedział się, że rokoszanie szukają drogi pojednawczej. Bruno na wyraz łaski monarszej oczekiwał w Węgrzech. Komes Henryk za cenę przebaczenia zgodził się na rolę więźnia i pokutnika: strzeżony w zamku Iwikansten „musiał w ciągu dnia jednego cały psałterz odśpiewać i 150 pokłonów wybić“ (2). Po tymczasowem załatwieniu spraw lombardzkich (gdzie król narodowy, Harduigus-Harduin — odgrywa rolę podobną do bolesławowskiej), Henryk II wraca na kraj allemanów i franków do Saksonii, „swego ogrodu rajskiego,“ zbiera wojska w Merseburgu i wyrusza tajemnie przeciw wschodniemu wrogowi. Ukrywając widocznie plany przed własną drużyną, zmierza zrazu w stronę Polski, a potem nagle ku Czechom się zwraca. „Lew ryczący zamachnięciem wijącego się ogona“ broni przystępu do granicy przez obsaczenie lasu dobraną rotą kiriśników. Zapora ta jednak została złamana. Bolesław, uwiadomiony o nadciąganiu wojsk nieprzyjacielskich, miał odrzec z pogardą: „Toć gdyby leżli jak żaby, stanąćby tu nareszcie już mogli.“ Tymczasem Henryk, któremu zastęp czechów pod wodzą księcia Jaromira otwierał drogę, postąpił pod miasto Sacz: mieszkańcy wycięli załogę polską i Henryka z Jaromirem jak zbawców w mury swe przyjęli. Głoszono już nawet o śmierci Bolesława. Radością zapłonęli przyjaciele króla, nie taili gniewu „skażeni jurgieltnicy“ (8). Jaromir zmierza ku Pradze, niosąc zagładę „wężowi jadowitemu“, który tymczasem, uwiadomiony przez szpiegów o niebezpieczeństwie, opuszcza stolicę Czech (1004 r.) i w śpiesznym pochodzie wraca do ojczyzny (9). Henryk, odprawiszy niepewnych bawarów, zmierza ku ziemicy milżyńców: oblega ze szkodą własną i niebezpieczeństwem osobistem miasto Budyszyn, które w końcu *na rozkaz Bolesława* kapituluje. Załodze polskiej dano wolność opuszczenia grodu. Król ze znękanem wojskiem, wzmocniwszy tu i owdzie załogi, powraca do Saksonii (11). Tam załatwia sprawy bieżące, przywraca wolność komesowi bawarskiemu (12), i myśli na seryo o wyprawie na Polskę. Jakoż w sierpniu 1005 r. zebrane pod Magdeburgiem hufce ruszyły w kierunku wschodnim (14).

Pomimo posiłków ze strony bawarów i czechów, pochód przez Łużyce był trudny, przewodnicy wątpliwi, nieprzyjaciel ostrożny, utarczka podjazdowa nad Sprewą — niepomyślna. Podczas marszu ku brzegom Odry połączyli się z najeźdźcami lutycy (16). Zdradliwe jednak usługi tych barbarzyńców więcej szkody niż korzyści niemcom przyniosły (18). „Henryk rozbił wreszcie namioty nad rzeką Bobrem... Ale Bolesław umocnił jej brzegi, i położywszy się obozem u Krosna, żadną miarą nie dopuszczał przeprawy.“ Pierwsze hufce wszakże przebyły bezpiecznie w bród rzekę. Książę polski, uwiadomiony o tem, zwinął z pośpiechem obóz—„zostawiwszy niemało przyborów na miejscu.“ Król wzniósł pienia dziękczynne, przeprawił się przez Odrę i począł ścigać nieprzyjaciela, który pierzchał przed nim „jak spłoszone stado rączych jeleni“ (19). Henryk, idąc naprzód, niszczył wszystko wokół i palił. „Oddziały tylko, wychylające się z obozu za żywnością, wielkiego szwanku od nieprzyjaciół na zasadzce doznawały.“ „Na prośbę panów, wstrzymał wreszcie monarcha swój pochód o dwie mile od Poznania. Bolesław prosił przez pośredników o łaskę—Arcybiskup Tagino do miasta rzeczonego się udał i pokój stwierdzony przysięgami przy zastrzeżeniu wynagrodzeń stosownych zawarł (1005 r.) Ucieszeni, odeszli nasi (konkluduje Dytmar),“ znużywszy się dalekim pochodem, nieodłącznym od głodu i innych klęsk wojny na obczyźnie (20).

(Dalszy ciąg nastąpi).

A. G. Bem.

NAJNOWSZE DZIEJE ANGLII.

Gdy niedawno przywódców ligi krajowej w Irlandyi pociągnięto do odpowiedzialności sądowej, połączyło się z nią dwu posłów, którzy dotychczas trzymali się zdala od owego ruchu, nie podzielając krańcowych poglądów Parnella. Jednym z owych nowicyuszów jest znany pisarz Justyn Mc. Carthy, którego świeżo wydane dzieło *Hystory of our times* wielkie zyskało uznanie.

Mc. Carthy jest pisarzem gruntownych zasad, wolnomyślnych przekonań i zadziwiającej przedmiotowości, która stanowi niezmiernie rzadki przymiot śród irlandzkich myślicieli. Autor kreśli nam dzieje Anglii w okresie między 1837—1878 r., to jest od wstąpienia na tron obecnie panującej królowej Wiktoryi aż do berlińskiego kongresu.

Specyalny ten obraz nie pozwala nam zastanawiać się nad nim obszerniej; jego wszakże naukowe znaczenie skłania nas do treściwego przynajmniej przedstawienia osnowy.

W sposób nader zajmujący rysuje autor wizerunek Beniamina Disraelego z epoki politycznych jego debiutów, gdy nie przypuszczano jeszcze, że dojdzie do stanowiska, jakie zdobył w następnych latach. Poznajemy się dalej ze skromną postacią księcia-małżonka, który szczerze i bezinteresownie pracował dla sprawy postępu. Surowo sądzi Carthy słynnego agitatora O'Connella, którego działalność w długiej walce Irlandyi z Anglią, stanowi jeden z najciekawszych widoków. Cobden, rzecznik wolnego handlu i przyjaciel jego, John Bright — należą do mężów stanu, których autor sławi ze szczególnym zapałem.

Pierwszy parlament za panowania Wiktoryi mieścił w sobie szereg nieposplitych osobistości, które Carthy szkicuje z klasyczną zwięzłością. W galeryi tej przesuwają się długim szeregiem: Russel, przywódca wolnomyślnych, Peel jego przeciwnik, O'Connell i Shell, podówczas niezależne filary rządu, Gladstone i Disraeli debiutanci, wreszcie Palmerston jako jeszcze nieopoznany geniusz i t. d. Naukę i poezyę uprawiali również pierwszorzędni pisarze, jak Grote, Hume, Bulwer i inni.

Była to epoka pod względem postępu i cywilizacyi świetna; telegraf, kolej żelazna i parowce są wymownymi pomnikami jej blasku.

Stosunki społeczne i polityczne Anglii znajdowały się w stanie groźnego naprężenia; powszechna nieufność była charakterystyczną cechą ówczesnego nastroju.

Wołania o polityczne reformy przygłuszał krzyk nędzy zarówno wiejskiej jak i miejskiej ludności roboczej. Tomasz Cooper, który z wygłodzonymi pończosznikami większych miast stykał się bezpośrednio, kreśli cierpienia nędzarzy jaskrawemi barwami. Po walkach dziennikarzy, po namiętnych rozprawach parlamentarnych i wiecach nastąpiły bezrobocia; wtedy doktrynerzy cofnęli się z pola walki, wytrwałych przywódców poczęto prześladować i więzić, a wykroczenia mass tłumić przemocą. Szybko i gwałtownie wybuchający płomień—powiada Carthy—zagasł nagle, gdy zapalono mocno i spokojnie żarzące się światło politycznych reform i wychowania. Ruchy te przekonały dostatecznie, że polityczne agitacye podtrzymują się tem tylko a groźnemi stają się przez to jedynie, co w ich dążeniach jest słusznem i wykonalnem.

Robotnicy, zawiedzeni w swych nadziejach względem klasy średniej, odwrócili się od whigów i głosami swemi wzmocnili zabiegi torysów. To też wniesione przez Roberta Peela i poparte przez większość wotum nieufności obaliło wytrwały gabinet w połowie 1841 r.

Spodziewano się, że nowy rząd, na którego czele stanął Peel, zmieni na lepsze stosunki ziemskie i gospodarstwo finansowe, że nareszcie zakończy wojnę z Afganistanem, rozpoczętą na kilka lat przedtem lekkomyślnie przez rząd indyjski. Zupełne niepowodzenie anglików w Kabulu, podobne do porażki ostatnich czasów, przekonywa, że oni nie umieją korzystać z nauk przeszłości. Epizod ten tem był haniebniejszy, że wojska angielskie walczyć nie chciały, a urzędnicy mordowali tuziemców dłonią najętych siepaczów.

Jednocześnie i przez długie lata agitował pełen sprzeczności Dawid O'Connell, który czasami zapalał swemi mowami wyobraźnię ludu irlandzkiego i podniecał do buntu, czasami znów uspakajał go i nakłaniał do posłuszeństwa. Wczesna energia rządu rozbroiła O'Connella i położyła koniec jego śmiałym występom. Sam lud zresztą przekonał się, że wielki ich przywódca nigdy nie miał szczerego zamiaru oderwać kraju od państwa. Stronnictwo się rozdwoiło, a sprawa irlandzka została odroczoną, aż dopiero obecna chwila rozogniła ją na nowo.

Wspomnieć tu należy o szlachetnej pracy hr. Shaftesbury, który usunął fatalne stosunki kopalń węgla, gdzie kobiety po 10 godzin dziennie spełniały usługi roboczego bydła. Nie zdołano jednak zaradzić nadużyciom, jakich się dopuszczali pracodawcy względem robotników fabrycznych.

Z tem wszystkiem Peel zaczął nawracać się na wiarę wolnego handlu i postanowił znieść cła zbożowe, tembardziej, że nieurodzaje w Irlandyi zagroziły straszliwym głodem. Stronnictwo wiejskie widziało w tem nawróceniu się zdradę ziemiańskich interesów. Zwołany parlament postanowił jednak prawa te przeprowadzić. W jak niegodziwy sposób zagrały w owej chwili niskie namiętności ludzkie w najwyższych torysowskich sferach, obawiających się utraty dochodów, przekonywa odezwanie się księcia Norfolka, który głodnym irlandczykom zalecił wynaleziony przez siebie proszek, jako skuteczny środek przeciw buntującym się żołądkom!

Robert Peel przeprowadził bil zbożowy. Autor powiada: „Zgniótł on O'Connella i protekcyonistów, lecz ci ostatni dość byli silni, aby go nawzajem zmiażdżyć.“

Whigowski gabinet Russela otrzymał po swoich poprzednikach fatalny spadek. Nędza w Irlandyi wzrosła do zenitu. Jestto dziedziczna choroba systematu ziemiańskiego w tym kraju, tocząca prawie bezustannie organizm Irlandyi. Po owym głodzie, wobec którego rząd okazał się bezsilnym a prywatne składki niedostatecznemi, ludność Irlandyi spadła z 8 na 6 milionów mieszkańców w skutek braku pożywienia, chorób i wychodźtwa. Za oceanem powstała nowa Irlandya, która o starej nie zapomina. Znaczne wsparcia płyną ztamtąd i obecnie dla krajowej ligi.

Tom pierwszy pracy Carthy'ego mieści w sobie okres życia dziejowego Anglii od 1837—1846 r. czyli do gabinetu Russela. Z dalszym ciągiem tego pięknego dzieła, poznajomimy czytelników w swoim czasie.

Z.

LEOPOLITANA.

Lwów, 15 stycznia

I.

Tak tedy pochowaliśmy szczęśliwie rok pański tysiąc ośmset ośmdziesiąty. A więc *requiescat in pace!* i niech mu lekkim będzie sen mogilny, temu Pierrotowi, który przeszumiał nad naszemi głowami tak, jak noc burzliwa przepędzona w Mabilu, a zapisał się w dziejach naszej dzielnicy: pożyczką głodową i tryumfalnymi łukami, okrojeniem szkolnego budżetu i wspaniałemi gody, smutnem wyznaniem, że nie mamy grosza dla naszych szpitali, i świetnemi uroczystościami a przepychem, jakiemu równego nie widział dotąd nikt w naszym kraju!

W istocie *rok* ten—rok zapustnego szału i głodowych konwulsyj—ciekawą jest w swoim rodzaju offenbachjadą. Jest on krwawą satyrą na roztropność, moralność naszą i powagę; satyrą na przodowników naszych, prawiących nam do niedawna bezustannie o pracy i ofierze; satyrą na tego, który znając opłakany stan naszej nędzy, nie wahał się najechać nas tak, jak przyjaciół swoich najeżdżał książe Radziwiłł; satyrą wiecznie na zwycięzkich dzisiaj stańczyków, na ów „rząd moralny,“ wodzący prym w tych Lupercaliach, na ową „straż pożarną,“ gaszącą stare znicze, a zapalającą oczom ludu błędne ogniki mglistych jakichś, nieuchwytnych nadziei. Jest to tryumf fałszywej Pallady nad prawdziwą, zwycięstwo fletu nad natchnioną lutnią, jest to Bachus-Sabarios, Dyonyzos-Soter, urągający zakonowi trudu i ofiary, a zwiastujący panowanie wydrwiczynów i *Bonum Eventum* — niezasłużoną nagrodę szczęśliwej frymarki.

I któżby dziś jeszcze trwał w zakonie surowego obyczaju, skoro ów nowy zbawiciel, ów *Hygroteta*, z oczyma załzawionemi rozkoszą przyrzeka, że nas gościńcem różami wysłanym poprowadzi ku złotej jutrzni — szczęśliwszej doli? Ktoby chciał dziś jeszcze kłonić ucho zrzędzeniom stoików, uczących, że walka jest cnotą, że rachuba na darmochy i ślepe szczęście niegodną jest człowieka i narodu, skoro ów miły gospodyn, ów Dyonyzos łaskawy rozsiewa hojną dłonią wokoło swe dary? skoro pełna się w ręku pieni czasza? i cudownie rozkwita powój na thyrsu wiechach? *Evoe Dyonyzos!* Bywaj nam, bywaj miły gospodynie! I pląsa około zwycięzkiego rydwanu tego Pocieszyciela chorowód Menad, których „oczy patrzą na nutę dumki“ i kankanuje w wesołym orszaku tego nowego Lyziosa rój korybantów, i śpiewają mu hymny wieszcze nasi, i prorokują mu „Skargowie we fraku,“ nie pytając wcale, czy syryjczyk ten, który był niegdyś Molochem, a nie przestał być Minotaurem, nie powróci do dawniejszego swego awataru i nie zażąda w zamian za łaski, które dziś rozsiewa, w zamian za nadzieje, które dziś wzbudza, ciężkiej zapłaty — ofiary krwi, mienia—a kto wie—może i cześci?

Cokolwiekbądź i jakikolwiekbądź plon wydadzą sabińskie mysterya, których świadkami byliśmy w ubiegłym roku, trudno nie widzieć, że ślad ich wyrył się głęboko na duchowej fizyognomii naszego społeczeństwa; trudno zaprzeczyć, że siew ich zapuścił silne korzenie w umysłach naszego ogółu, zaszczepiając tam pewien gnuśny kwietyzm i szpetny hart i energię. Kto znał Galicyę dawniej, a opuściwszy ją przed dwoma laty, dzisiajby do niej powrócił, ten z pewnością nie poznałby jej wcale. Gdzie się podziały nasze piękne przedsięwzięcia, przyspieszające niegdyś serc naszych bicie? gdzie nasze programy pracy, oszczędności, siewu dla przyszłych pokoleń i powolnego, ale — ciągłego dorobku? gdzie stoicyzm stańczyków, tego „moralnego rządu,“ który przed rokiem nie bez słuszności chełpił się tem, że służąc ołtarzowi nie żyje z ołtarza? gdzie nasze pragnienia, które nas rozgorączkowywały do niedawna? gdzie wreszcie nasi ratuszowi trybunowie z pełną frazesów gębą? nasza tromtadracya, harująca na swych narowistych, zasadniczych szkapach? Wszystko to minęło i przeszło porwane galopadą rozwierzganego korybantów tańca — wszystko to utonęło w wirze zapustnego szału i w błogostanie jakiejś magnetycznej katalepsyi!

Ten upadek energii i siły, tem bardziej znaczący w Galicyi, która się nigdy nie odznaczała szczególniejszym zasobem tych przymiotów, objawia się dziś słabszem nierównie tętnem naszego t. zw. publicznego życia. Stronnictwa mameluków i tromtadratów, o których słyszeliście niegdyś tyle, przestały istnieć i należą dziś już do legendy tak, jak gdyby były rówieśnikami przedpotopowych jaszczurów lub gruboskórców. Mamelucki ichtyosaurus, opuszczony przez swego patrona J. E. Ziemiałkowskiego—który starając się o tytuł barona, wykonał sam na sobie wyrok śmierci, wydany na nas przez Metternicha przed laty—zwrócił się w stronę trzonka sytuacyjnej miotełki i zaprzągł się do rydwanu zwycięzcy, zawdzięczając temu, iż zawsze był pół-rybą a pół-jaszczurem, chwilowe swe ocalenie. Gróboskórny mastodont tromtadratyczny, który — o kopalna głupoto!—chciał na parkietach salonów współzawodniczyć z hrabiami i księżniczkami, „tańczącymi mazura bez huku i stuku“ (sic!) uległ oczywiście w tej dla niego tak niebezpiecznej walce i oddał Bogu ducha, tego ducha tak srodze niegdyś trapionego gramatyką, logiką i ortografią! Pozostała tylko *tabula rasa*, a na niej nasz *„rząd moralny“* — głoszący zwycięzkim brzękiem swych błazeńskich dzwonków już nie austryacko-polską, ale (słuchajcie) wprost austryacką ideę! Dodajcie do tego jako treść wyścigi karjerowiczów, goniących za tłustemi posadami, nowe wydanie „ekonomicznego rozkwitu,“ zainaugurowane stworzeniem (*lucus a non lucendo!*) „Banku dla krajów“ i posażnych w tym Banku synekur, w głębi znaną naszą galicyjską nędzę, dogryzającą chłopa, mieszczanina i szlachcica, tudzież wiecznie głodnego Minotaura podatkowego, domagającego się nowych, zwiększonych ofiar, a będziecie mieli mniej więcej dokładny obraz spadku, który nam pozostawia rok pański tysiączny osiemsetny i osiemdziesiąty, najnowszą inaugurujący erę.

Tak tedy nie ulega wątpieniu, że nasze dążenia i nasz sposób zapatrywania na zadanie nasze i środki, do rozwiązania tego zadania prowadzące, znacznemu w ostatnim czasie uległy przeobrażeniu. Rozwój ten uwidocznia się oczywiście najwyraźniej na twarzy naszego codziennego czasopiśmiennictwa, którego jedna część zaprzęgła się do zwycięzkiego rydwanu nowego boga, druga, tak jak chrząszcz na szpilce, który długo latał i strudził się nareszcie daremnym wysiłkiem, pogodziła się ze swym losem i przyjmuje go z uległo-

ścią entomologicznego preparatu. Przyczyny tego osowienia należy szukać w tem, iż niezależna prasa nasza, stawiając umysłom przez długie lata fałszywe ideały, straciła niemal wszelkie znaczenie i strącona z glinianego swego piedestału, stoi dziś już po za polityką i — powiedziałbym prawie — po za społeczeństwem. Przyczynia się do tego i rozwielmożniony wpływ stańczyków, których ramię przez c. k. namiestnictwo sięga aż do c. k. prokuratory i mieczem c. k. Temidy karci wszelki objaw niezależnej myśli. Czasami więc tylko jakaś konfiskata, czasami numer *Szczutka*, pokrywający błazeńską czapeczką krwawą satyrę, czasami wreszcie świętoszkowskie apologie goniących za karyerą, a postępowanie swe ofiarnością i poświęceniem pozorujących stańczyków, stwierdzają życie i czujność publicznego sumienia. Słaba to zaiste pociecha, ale bądź co bądź pociecha; bo jeżeli interes i rachuba przywdziewają płaszcz faryzejski, to dowód oczywisty, iż czują, że czynią źle i że im potrzeba usprawiedliwiającego pozoru.

Piętno tej duchowej jałowości, w jakąśmy tu popadli, noszą też na czole swem wszystkie niemal literackie płody, które Galicya od chwili pierwszych brzasków tej najnowszej ery wydała. Napróżno wysilam pamięć, aby Wam módz wymienić chociażby jeden utwór nowszy, któryby zasługiwał na wyszczególnienie i wyłaniał się ponad poziom zwykłej miernoty; chociażby jedną książkę, któraby się zapisała w mojem wspomnieniu, już nie jako dzieło, posiadające warunki trwałości, ale wprost jako rzecz, mogąca pobudzić do myślenia. Sam styl nawet dzisiejszy, o ile przykładem jego mogą być utwory tych, którzy za najlepszych u nas stylistów uchodzą, nosi na sobie widoczną cechę chwili i napuszony superlatywami, połyskujący złoconą miedzią, unikający tego, co francuzi nazywają *le nom propre*, jest on dziwną mięszaniną jezuickiego baroka i szarlatańskiej prozopopei. Czytając próbki tego, co się dziś stylem wykwintnym zowie, mimowoli przypominasz sobie amerykańskie reklamy, zalecające maście uniwersalne i truciznę na szczury. Tyle tam szychu, tyle błyskotek, tyle waty, tyle bielidła, że nie wątpić, iż po lat tysiącu, gdyby zupełnie zatraconą została pamięć nasza, badacz każdy, na podstawie wykopanych gdzieś z pod ziemi dokumentów tego piśmiennictwa, łatwo by odgadł, że to są zabytki czasu, w którym społeczeństwo nasze w dziwną duchową popadło jałowość i żyło tylko fałszem i obłudą.

Niewesoły wcale obraz naszego moralnego stanu skreśliłem tu Waszym oczom; atoli powołany do zdawania sprawy z współczesnego ruchu naszej dzielnicy w łamach pisma, które na swym sztandarze wypisało wzniosłe godło: *Prawda*, nie mogę Wam taić tego, co myślę. Zarzucą mi z pewnością optymiści, iż jestem czarnowidzem; że apatya ta i bezkrwistość, którą Galicyi tutaj wytykam, jest chwilowo powszechną i zarówno ciąży na wszystkich dziś narodach. Niezawodna rzecz! I ja też wcale nie twierdzę, aby dzielnica nasza gorzej dotkniętą była w tym względzie od innych krajów; stwierdzam tylko fakt, nie zapuszczając się w dalsze wnioski. Bolesny to widok, bez wątpienia, jeżeli kraj mający przed sobą tak wiele ważnych zadań, jak nasza prowincya, popadnie chwilowo w podobną niemoc i drzemkę a obowiązkiem każdego prawego obywatela jest wtedy podnieść głos przestrogi i nie pokrywać zatrutej rany różem i bielidłem. Niezawodne również, iż stan ów kataleptyczny, w któryśmy pod panowaniem stańczyków popadli, jest przejściowym stanem i że może w krótkim już czasie społeczeństwo nasze ocknie się z swej drzemki. Prawdopodobnie zwróci się ono potem z tem większą energią do czynu i postępu, nie zadawalniając się, tak jak dawniej, czczymi frazesami, lecz pracując szczerze, poczciwie, rozumnie i wytrwale. Że nadzieja ta nie jest płonną, o tem najlepiej świadczy wstręt, który w umysłach naszego ogółu budzą stańczykowskie frymarki; o tem świadczy również sympatya, z jaką wszyscy zwracają oczy ku stronnictwu sejmowemu ateńczyków i ku ich przywódcy, ks. Jerzemu Czartoryskiemu, spodziewając się, że stronnictwo to, składając się z ludzi młodych, zdolnych i postępowych, potrafi złamać nienawistną przewagę stańczyków; świadczy o tem wreszcie powstanie kół literackich we Lwowie i Krakowie, których zadaniem jest stać się ogniskiem życia umysłowego w naszej dzielnicy, a pod których sztandarem garną się dziś wszyscy ludzie dobrej woli w nadziei, że tak połączonemi siłami zdołamy wreszcie zwalczyć panowanie koteryi i że z ognisk tych tryśnie iskra ożywcza dla polskiej myśli. Są to niezawodnie oznaki wielce pouczające, lecz obszerniej o nich powiem Wam dopiero w przyszłym liście.

Junius.

STILLER BANKEROTT!

I

Któż śmiałby urągać nieszczęściu!

Sprobujmy to zrobić w imieniu „prawdy"—to jest zajmijmy się na chwilę gatunkiem, publicznie mało znanym, nieszczęśliwymi—cichymi bankrutami.

Mają oni zresztą do tego prawo choćby ze względu na swą ilość. Ażeby nie pogwałcić sprawiedliwości, nie oznaczamy statystycznego procentu i nie powiemy na ilu u nas tak zwanych „kupców" ilu czerpie swój majątek z... mętnego źródła.—Ciche bankructwo! W pewnej sferze te dwa wyrazy wywołają wrażenie pokrewne bodaj temu, jakieby na artystach sprawił widok—ucieleśnionego piękna.

Ma ono zresztą swoje stopnie, przyczem, rozumie się, gra większą rolę ilość, niż jakość. Stanowczo bowiem więcej wart ten, co ukradł niezręcznie sto tysięcy, niż ten, co mistrzowsko przywłaszczył sobie tysiąc — głosi specyalna w tym względzie etyka.

Jak wszystko, co wzniosłe, podobnie i ciche bankructwo jest rzeczą nader prostą! Jesteś—daruj czytelniku, że cię zmuszam do potrzymania mi tego motka — jesteś więc, przypuśćmy, buchalterem lub kupczykiem w znacznym magazynie.

Nie masz nic—a pragniesz mieć wiele. Pryncypał w nagrodę za to, że ciebie się pozbył, daje najszczytniejsze rekomendacye do domów zagranicznych. Rozsyłasz cyrkularze, listy, ogłoszenia. Dostajesz pierwszy transport towarów. Zręcznie — a dojdziesz do cichego bankructwa!

Spekulujesz na uczciwość. Płacisz przez lat dwa tak akuratnie, jak kupiec angielski lub francuzki robi to przez życie całe. Niby kamień w wodę rzucony—zakreślasz coraz większe koła. Kredyt twój wzrasta. Pewnego poranku widzisz się panem znakomitego długu, uosobionego w postaci kilkunastu mniej lub więcej łatwowiernych wierzycieli. *To be or...*

Być—powiadasz sobie i robisz ciche bankructwo. Zawieszasz wypłaty.

Nie potrzebujesz się nawet wysilać na minę nieszczęśliwego—wystarcza ci maska „porządnego kupca". Możesz mieć splamione sumienie—aby tylko książki twoje były bez skazy. Czegoż więcej potrzeba! Jeżeli to nie zadawalnia wierzycieli — tem gorzej dla nich. Wolno ci zresztą niebyć nieuczciwym, ale nigdy niezręcznym!

Ty nie kradniesz zresztą cudzych pieniędzy—tylko regulujesz.

Wielką jest potęga słów!

Powiedz, że p. A. ukradł panom B. C. F. summę 100000 rs. a wywołasz równe oburzenie ze strony p. A, jak i zadziwienie ze strony jego ofiar.

Pan A. tylko regulował.

Co to jest regulacya?

To grabież cząstkowa zamiast całkowitej.

Okradzionemu zwraca się, stosownie do okoliczności: 20, 30, lub 40% a za resztę daje mu się pociechę w formie dobrze prowadzonych ksiąg lub zapewnienia, że na wypadek oporu nie będzie regulacyi, to jest cichego bankructwa, ale bankructwo proste.

Tym sposobem porasta się w pierze.— Mając już jakie takie skrzydła, łatwiej potem fruwać. Zakreśla się koła coraz większe, ponawia się ta sama operacya, ale już na większą skalę.

Trzeba tylko takiego trzykrotnego nieszczęścia, ażeby uzyskać potem zupełne błogosławieństwo fortuny. Tym sposobem można pewnego pięknego poranku obudzić się milionerem.

W Anglii poznaje się tych ludzi po piętnach społecznej pogardy, u nas po oznakach otaczającego ich podziwu.

Co kraj to obyczaj!

Zwykle jednak ofiarami zręczności są kupcy zagraniczni. Chętka do *regulacyi* bywa w stosunku prostym do przedstawionego przez nią niebezpieczeństwa. Oto przyczyna powyższego zjawiska. Zanim francuz czy anglik dotrze do funduszów swego dłużnika, ten już zdoła nietylko mistrzowsko je ukryć, ale i zarwać go na nowo. Krajowi wierzyciele są zwykle niebezpieczniejsi — i dla tego bardziej nietykalni.

Dany porządek wywołuje, jak wiadomo, odpowiednią regułę etyczną. Oto powód, dla czego na cedule giełdowej moralności notowani są zwykle korzystniej kupcy okradający (*passez moi le mot*), regulujący z zagranicą, niż z miejscowymi domami. Zresztą—regulacya jest tylko jedną, ale nie jedyną formą cichego bankructwa. By-

wa ich bowiem tyle, ile głów nad niem przemyśliwających.

Oto pan N N. Głowa iście do pozłoty.

Jako ajent domów zagranicznych sprowadzał towary dla osób... fikcyjnych. Sprzedawszy je na swe konto, uregulował później z domami zagranicznymi, oddawszy im aż 50%. To typ bankruta — dobroczyńcy.

Pani W. jest nader sprytną kupcową. Mąż jej od kilku lat chory umysłowo. Troskliwa żona wystawia zobowiązania z podpisem męża. Zgłaszają się wierzyciele i znajdują obłąkanego dłużnika.

Ależ to oszustwo! Nie — to tylko ciche bankructwo!

Czem się to dzieje u nas? Dla czego bankructwo, źródło nieszczęść dla dotkniętych niem gdzieindziej, staje się u nas gorąco ostrzeliwanym przez kupców celem?

Jak każdy fakt społeczny większych rozmiarów, tak i ten jest wynikiem mnóstwa różnorodnych przyczyn, wśród których najgłówniejszą jest bez wątpienia nienormalny stosunek naszej produkcyi wytwórczej do działalności handlowej. Tchórzliwość nasza wobec każdego nowego rodzaju produkcyi stała się przysłowiową. Handel rozszerza się zbytecznie kosztem fabrykacyi.

Na dziesięciu kupców warszawskich co najmniej dziewięciu trudni się wyłącznie pośrednictwem w jakiejbądź formie. Współzawodnictwo między ajentami domów, komisantami i ekspedytorami doszło do szczytu i spotęgowało swojego rodzaju kredyt do rozmiarów, nieodpowiadających bynajmniej naszym stosunkom. Ten to kredyt, zamiast być poszukiwanym, narzuca się niemal sam wyzyskującym go później nie w imię handlu, ale w imię oszustwa. Na swe usprawiedliwienie może on przytoczyć to tylko, że często tych samych sztuczek chwytają się ajenci dla sprowadzenia go do kraju, jak znów kupcy dla niecnego wyzyskiwania.

Pomagają im zresztą w tem przedstawiciele naszego handlu. Dać komuś w tym względzie przychylną opinię przychodzi im o wiele łatwiej, niż francuzowi obdarzyć swego znajomego tytułem przyjaciela.

— Coś pan miał, rozpocząwszy swój zawód? spytałem raz utuczonego na dwóch cichych bankructwach.

— Szczere chęci zrobienia dużego majątku i świetne *referencye*...

Domy handlowe, które przesłały odnośne w tym względzie opinie za granicę, z pewnością by tysiącznej części nie pożyczyły tego, co znów tak lekko radziły swym zagranicznym kolegom.

To się znów nazywa w świecie handlowym kupiecką usługą!

A zagranica?...

W gruncie traci ona *tylko* zaufanie do naszego charakteru. I nic więcej. Ze zwykłem kupieckiem wyrachowaniem odbiera ona odpowiedni procent za niemoralne skłonności swych klientów. Co traci na jednem bankructwie, to odzyskuje na ogólnem podniesieniu cen. Słowem rolę ostrzyżonych owiec odgrywają w tym razie jedynie spożywcy, ogół. Powtarza się tu tylko zwykła teorya przerzucania podatków i odsłania się przyczyna dziwnego faktu, czemu niektóre produkta są u nas, pomijając opłaty celne i koszta transportu, kilka razy droższe, niż za granicą.

Oto w kilku zarysach ogólna charakterystyka „cichych bankrutów". Temu lat kilka zjawisko to budziło podziw, który dziś zamienić się winien na szczerą obawę.

Tańczymy może na wulkanie. Jakżeż często owe świetne pozornie magazyny, błyszczące szyldy, dziesiątki kupczyków, mają za jedyną podstawę zamiast majątku ich posiadaczy — polowanie na ciche bankructwo. Nasz handel poszedł na bezdroża. Czuje się na każdym kroku jakiś odmęt w pojęciach a jeszcze większy w czynach. Nie łudźmy się zewnętrznemi oznakami zdrowia.

Zbyt wyciągnięta struna może nagle pęknąć, handel, oparty na wązkiej i chwiejnej podstawie cichego bankructwa—przywalić nas swą ruiną.

I on nawet, choćby bez drobnej cząsteczki moralności — się nie obejdzie.

Jan Finkelhaus.

WYZWOLENIE SOLI.

II.

Saliny stanowiły własność rządu, który dobywał i sprzedawał sól za pośrednictwem swych urzędników i agentów, dobytą zaś z salin prywatnych zwykle nabywał, lub zezwalał za częściową jej sprzedaż spożywcom za opłatą pewnej akcyzy.

Niedogodności tego systematu, przy którym, jak zwykle, przedsiębiorstwo rządowe nierównie mniejsze przynosiło zyski, niż prywatne, zostały usunięte przez wprowadzenie w r. 1862 jednego, powszechnego podatku od soli. Saliny rządowe wydzierżawiono przedsiębiercom prywatnym. Ażeby zapobiedz zmonopolizowaniu produkcyi w ręku tych przemysłowców, podzielono dzierżawę na niewielkie cząstki, nie pozwalając ustępować pojedyńczym osobom więcej, jak po jednej i zobowiązując ich przytem do produkowania rocznie pewnej, z góry oznaczonej ilości. W ten sposób dzierżawcy salin rządowych opłacali akcyzę i raty dzierżawy, właściciele prywatni tylko akcyzę. Stopa tej ostatniej nie była w całem państwie jednostajną; przeważnie wynosiła 30 kop. od puda, były jednak miejscowości, w których ze względu na szczególne warunki, na trudność produkcyi lub na zaopatrzenie w sól pewnych warstw społecznych, pobierano akcyzę w mniejszym stosunku, po 25, 23, 20, 10 i 8 kop. od puda. Ilość produkcyi w różnych latach bywała bardzo nierówną, w tych zwłaszcza miejscowościach, gdzie sól otrzymywano za pomocą warzenia lub suszenia; pomyślne bowiem wyniki zależały od warunków atmosferycznych.

Według danych urzędowych [1]) podczas roku 1874 wyprodukowano w *Europie*, a mianowicie: krymskiej z jezior i limanów, z jezior astrachańskich, permskiej, z gubernii jekaterynosławskiej i chersońskiej, z limanów chersońskich, z góry Czypczaczy (gub. astrach.), wołogodzkiej, z zakładów prywatnych astrachańskich, ileckiej (gub. orenbur.) pudów 40,259,701; w *Syberyi* zaś: tobolskiej, tomskiej, irkuckiej, jenisejskiej, zabajkalskiej, wilujskiej, ze stepów kirgiskich—2,275,773; razem pudów 42,535,474.

Oprócz produkcyi miejscowej mamy w użyciu sól zagraniczną, sprowadzaną głównie z Austryi i z Anglii; w dostawie wszakże biorą udział wszystkie prawie państwa Europy. Od tej soli zamiast akcyzy pobiera się cło przywozowe, w ilości 38 kop. od puda. Ilość ogólna soli przywozowej była bardzo niejednostajną w różnych latach. Podług rachunków Tęgoborskiego, wynosiła ona zwykle $^1/_7$ część konsumcyi krajowej, lecz w rzeczywistości dopływ jej bywał znacznie większym, a nawet sięgał do $^1/_4$. Przyczyna tego objawu bardzo łatwa do zrozumienia; cena bowiem soli krajowej, produkowana na dalekich wschodnich krańcach Cesarstwa, po doliczeniu kosztów przewozu, byłaby w guberniach zachodnich i nadbałtyckich znacznie wyższą od cen soli zagranicznej. W latach ostatnich udział soli zagranicznej, z powodu wprowadzenia opłaty ceł w złocie, znacznie się zmniejszył, jak o tem przekonywają urzędowe wykazy celne z czterech lat ostatnich, a mianowicie:

W r. 1876 wpłynęło cła od soli rubli 6,610,553 (w biletach kredytowych); summa ta winnaby odpowiadać 17,396,087 pudom [1]).

W. r. 1877 wpłynęło cła od soli rubli 2,319,080 w złocie i 36,345 w biletach kred. summa ta odpowiada tylko 6,140,675 pudom.

W r. 1878 wpłynęło cła od soli rubli 3,836,870 w złocie; lecz; summa ta odpowiada 10,097,026 pudom.

W r. 1879 wpłynęło cła od soli rubli 3,792,271 w złocie; suma ta odpowiada 9,979.660 pudom.

Po dołączeniu cyfr tych do podanych wyżej (w przypisku) ilości produkcyi rosyjskiej, będziemy mieli ogólną podaż soli do użytku powszechnego następną:

w roku	1876	pudów	52,046,607
„	1877	„	37,379,371
„	1878	„	41,628,436
„	1879	„	52,515,134

czyli w przecięciu po 45,892,387 pudów rocznie.

Rzecz oczywista, że cyfry te wzięte w odosobnieniu mogą wyrażać tylko produkcyę lub podaż roczną, nie zapotrzebowanie. Skoro bowiem po dostawie tak obfitej, jaka była w r. 1876, kraj musiał zadowolnić się w roku następnym ilością mniejszą o całe prawie 15 milionów pudów, znaczy to tylko, że ubytek z ogólnej dostawy na r. 1877 musiał być pokryty z zapasów roku zeszłego, czyli, że podaż r. 1876 przewyższała ogólną potrzebę krajową i pozostawiła zapasy na rok następny. Że tak być musiało, wynika to z ogólnych praw statystycznych, na zasadzie których przekonywamy się o wzrastającej wszędzie konsumcyi wszelkich przedmiotów potrzeby ogólnej, a zatem nie podobna przypuszczać, ażeby kraj w roku przeciętnym mógł się zadowolnić podażą znacznie niższą od zeszłorocznej. Ilość więc soli, potrzebnej na całoroczny użytek kraju, oznaczyć można w cyfrze przeciętnej z lat kilku, uwzględniając przytem pewien konieczny z roku na rok postęp. Tym sposobem w chwili obecnej, dla braku innych danych, możemy przyjąć jako przeciętną ilość rocznej kon-

---

[1]) Nie chcąc artykułu naszego zbyt przeciążać cyframi, usuwamy zeń szczegółowy wykaz całej produkcyi soli od r. 1876—1879 według różnych miar jej opodatkowania i rozkład na pojedyńcze jej źródła w Europie i Azyi, chociaż autor w swej gruntownej pracy cyfry te pomieścił. Wypisujemy zeń tylko sumy ogólne. W r. 1876 wydobyto soli w całem państwie 34,646,520 pudów; 1877—31,238,696 p.; 1878—31,531,410 p.; 1879—42,535,474 p.; przeciętnie—34,988,025 (*Red*).

[1]) W szacownem dziele p. Blocha: *O wpływie kolei żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi*, znajdujemy cyfrę 17,279,925 p., różniącą się od naszej o 116,162 p.; różnica ta w ogólnej masie nie znaczna. Przywóz soli w rzeczywistości może dochodzić do nieco wyższej cyfry, gdyż w portach morza Białego cło wynosi tylko po 20 kop. od puda.

sumcyi soli w całem państwie, wyżej podaną cyfrę 45,892,387 pudów.

Biorąc za podstawę tę samą cyfrę ludności państwa, jaką przyjął p. Bloch w dziele swem *O wpływie kolei żelaznych*, t. j. 83,3 miliony, otrzymamy konsumcyę soli na osobnika nieco więcej, jak po 22 funty rocznie [1]).

Podług anneksów do budżetów z lat właściwych, wpływ ogólny z opłat od soli (stosownie do wykazanej poprzednio produkcyi, wynosił w przeciągu czterech lat ostatnich:

W r. 1876 wpłynęło z akcyzy 10,106,877 rs., z cła 6,610,533, razem 16,717,410.

W r. 1877—9,115,243 rs., z cła 2,355,425, razem 11,470,668.

W r. 1878—9,087,701 rs., z cła 3,836,870, razem 12,923,771.

W r. 1879—12,447,116 rs., z cła 3,792,271, razem 16,239,387.

Cyfry te w porównaniu z projektami budżetowymi na rok 1880 innych dochodów nie stałych [2]), uważać należy za bardzo drobne i nieznaczące; dla tego też uchylenie z budżetu samego tylko podatku od soli zaledwie da się dostrzedz, zwłaszcza wobec ciągłej podwyżki wpływów z innych źródeł. Tak np. samej akcyzy od wódki na rok 1880 podano o 10 mil. więcej niż w projekcie budżetu za r. 1870, a nadto w r. obecnym ma się podnieść jeszcze o 9 mil. rubli.

Dla ogółu spożywców skutki zniesienia podatku powinnyby się przedewszystkiem objawić w obniżeniu ceny soli. Jest ono wszakże zależnem jeszcze od wielu innych warunków. Dla obwodów ekonomicznych, używających soli zagranicznej, do których przedewszystkiem zaliczyć wypada nasz kraj, prowincye nadbaltyckie, znaczną część zachodnich, a nawet okolice Petersburga, ważniejszem jest oczekiwane obniżenie cła od soli przywozowej, o którem znajduje się dopiero wzmianka w Ukazie z 23 Listopada. Dziś cena przeciętna soli w całem prawie państwie wynosi około rubla za pud, czyli, że ogół oprócz podatku (po 30 lub 38 kop.) opłaca tu koszta przewozu, a może jeszcze cząstkę, dorzuconą przez producenta na rachunek braku współzawodnictwa, lub ograniczenia produkcyi przez obwarowanie jej ilości w kontraktach rządowych. Otóż należałoby się spodziewać, że jednocześnie ze zniesieniem podatku wzmoże się produkcya, nieograniczona już nadal żadnemi zastrzeżeniami co do ilości rocznej, a skutkiem tego znajdzie się konkurencya i podaż produktu obfitsza. W takim razie cena soli mogłaby się zmniejszyć nie o samą tylko wysokość zniesionego podatku, ale także i stosunkowo do zwiększonej podaży tego towaru na targach, skutkiem zwolnienia produkcyi od ciężarów i ograniczeń.

Ponieważ w tym szkicu idzie nam głównie o wpływ wyzwolenia soli z pod dotychczasowych przepisów na nasze stosunki ekonomiczne, opuszczamy więc łączącą się z powyższym wywodem sprawę kosztów poboru opłat solnych i przechodzimy do głównie zajmującego nas przedmiotu.

(Dokończenie nastąpi).

[1]) P. Bloch podaje 24,23 funty na osobę. Różnica ztąd pochodzi, że cyfra 24,23 oparta jedynie na podaży soli z jednego wyłącznie roku 1876.

[2]) Razem 391,900,000 rs.

PAMIĄTKI HELLEŃSKIE.

I. Dzieło Schliemanna.

Grecya była i jest tem między narodami, czem geniusz między zwykłymi ludźmi. I dla tego wszystko, co po niej zostało, odległa potomność przechowuje dziś z największą czcią lub wyszukuje z największym trudem. Każda nowa zdobycz najdrobniejszej helleńskiej pamiątki rozbrzmiewa w ucywilizowanym świecie okrzykami głośnej radości. Pokruszone kolumny, skorupy naczyń, rozbite posągi — wszystko co greckie wchodzi z tryumfem do europejskich muzeów i zasiada na ich tronach.

Oddawna grunt helleński był przedmiotem starannych poszukiwań. Nikt jednak może nie włożył w nie tyle energii, zapału, poświęcenia, wiedzy i środków, jak Henryk Schliemann, o którego odkryciach prasa donosiła nam coraz nowe szczegóły a który obecnie przedstawia owoce swych badań w epokowem i przepysznie wydanem, 1880 ilustracyami i mapami ozdobionem dziele p. t. *Ilion miasto i kraj trojanów* [1]). Archeologowie nie szczędzili żartów, gdy znakomity ten badacz przedsięwziął skopanie własnym kosztem miejsca, gdzie niegdyś była Troja. Ale on, zapatrzony w swą gwiazdę i niezrażony przeciwnościami, jak Kolumb, dążył do upragnionego celu, który w mierze sił ludzkich i możliwych środków osiągnął.

Zbadajmy dokładniej sprawę, aby uczynić dla czytelnika zrozumialszą ważność odkrycia Schliemanna. Co jest Ilion? Gdzie był kraj trojańczyków? Był to plac wojny, wywołanej porwaniem pięknej Heleny. Najdawniejszą wiadomość o tym boju zawiera poemat, przypisywany Homerowi. Ale opis to tak niepewny, jak wątpliwem jest autorstwo samej epopei. Nowsza krytyka—w której olbrzymie zasługi położył rodak nasz L. Wojewódzki—sądzi, że ów poemat, w obecnej swojej postaci, różni się znacznie od pierwowzoru, że został doprawiony późniejszymi dodatkami, chociaż trudno oznaczyć dokładnie, kiedy to nastąpiło i przypuszczają jedynie, że *Iliada* powstała w dziewiątym wieku przed Chrystusem, w każdym razie wówczas, kiedy Troja już znikła. Są zresztą i tacy, którzy o jej istnieniu powątpiewają. Nie posiadamy zresztą żadnych wiadomości o epoce wojny trojańskiej, prócz zawartych w *Iliadzie*. Inne źródła są daleko późniejszego pochodzenia.

Znajdujemy się więc—jak słusznie zauważył dr. Wurzbach—w takiem położeniu, w jakiem byliby nasi potomkowie, gdyby po upływie 3,000 lat i zaginięciu całej współczesnej literatury posiadali tylko *Króla Leara*, lub—dodajmy—*Pana Tadeusza*.

Wojna trojańska miała się toczyć pomiędzy 1193—1183 przed Chrystusem. Ci, którzy utrzymują, że zdarzenia opiewane w *Iliadzie* nie są zmyślone, przypuszczają, że wyobraźnia ludowa nie zdołałaby tak ubarwić i tak jednolicie przedstawić swych widzeń. Twierdzenie to jest wątpliwe. Tylko poeta jest w stanie utworzyć dzieło trwałe i przechodzące z ust do ust wtedy nawet, gdy imię jego zostanie zapomnianem. Niezależnie od tego przyznać trzeba, że jeżeli wojna trojańska toczyła się istotnie, była ona dla twórcy *Iliady* zupełnie takim samym mitem, jakim dla nas są losy pierwszych ludzi w raju.

Na miejscu Ilionu, o którym wspomina Homer, wzniosło się około 800 roku przed naszą erą Nowe Ilium. Istniało ono podobno przeszło tysiąc lat; dziś miejsce to nie przedstawia najmniejszych śladów zamieszkania.

Zagadnienie to zajęło dużo czasu i zużyło dużo sporów. Schliemann, który je usiłował rozwiązać, przeszedł także prawie bajeczną kolej w swem życiu. Będąc dzieckiem, przeczytał przypadkiem podanie o zburzeniu Troi, które wywarło na nim silne wrażenie, niezatarte nawet wśród cierpień i trudów. Początkowo żył w niedostatku, pracując jako uczeń w handlu. Przypadek wyciągnął go z biedy, a szczęśliwe obroty doprowadziły do zamożności. Podczas tego życiowego przeboju nie opuszczała go ani na chwilę myśl o Ilionie Homera i gdy pozyskał dostateczne środki do wykonania swego przedsięwzięcia, udał się do małej Azyi i zaczął rozkopywać zwaliska w Hissarlik. Prace jego zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, a nawet przeszły wszelkie oczekiwania. Znalazł bowiem mnóstwo archeologicznych skarbów: gliniane odłamki, dzbany, naczynia, siekiery kamienne, przedmioty służące do ozdoby, szpilki, posążki wyobrażające bogów, broń, czaszki itd. Po dziesięcioletniem badaniu ogłosił rezulataty swych trudów w świeżo wydanem dziele.

Jakkolwiek dzieło to jest olbrzymim nabytkiem i doznało gorącego przyjęcia, nie wyłącza jednak pytania: czy Schliemann odnalazł Troję, czy też jakieś inne może, wcale nie znakomite miasto, o którem nic nie wiemy? Odpowiedź nawet przy zebranym przez Schliemanna materyale tak jest ryzykowną, że gdy specyalni tego przedmiotu badacze nie odważyli się na nią, my nie pójdziemy za przykładem niecierpliwych dyletantów, którzy klasnąwszy w dłonie, okrzyknęli ostateczne zwycięztwo.

Schliemann uważa *Iliadę* za dokument historyczny. Trudno się na to zgodzić. *Iliada* jest po prostu epopeją, która z natury swej zupełnie się różni od historyi. Poeta, używając nawet historycznej treści, może ją dowolnie przekształcać; z prawa tego Homer—czy ktoś inny pod jego imieniem — korzystał tak śmiało i często, że może nawet nie pragnął, by mu wierzono i nie przypuszczał, aby pieśni jego chciano przyjmować w dosłownem znaczeniu. Schliemann zaś wierzy w historyczną prawdę zdarzeń *Iliady*. Czyżby wierzył i w powód wojny trojańskiej? Czy sądzi w istocie, że więcej niż 100,000 greków, należących do różnych pokoleń, rozpoczęło bój o pogwałcenie prawa gościnności i honor króla Menelaja?

Homer uczynił to, co czyni każdy poeta: oznaczył miejsce opowiadanych zdarzeń i wybrał naturalnie takie, jakie mu było najlepiej znanem. Nie idzie zatem, aby epizody wojny trojańskiej były wiarogodną tradycyą. Poezya i historya są to dwie całkiem różne muzy, spokrewnione tylko imieniem: pierwsza nieraz tak jest bliską prawdy, że jej każdy chętnie ufa, druga zaś tak często ją przeistacza i fałszuje do tego stopnia, że w nikim nie znajduje wiary.

Dla objaśnienia stosunku wykopalisk Schliemanna do Troi przedstawmy sobie taki wypadek. Przypuśćmy, że jakiś nasz archeolog, pobudzony legendą, zaczął w Wielkopolsce szukać siedziby pierwszych Piastów, odkopał bardzo wiele przedmiotów z najodleglejszego okresu historyi polskiej i na ich podstawie oznaczył położenie Kruszwicy. Przedmioty te byłyby niewątpliwie zabytkami pogaństwa lechickiego, ale czy należałyby do Piasta i Rzepichy, a miejsce ich do obwodu dawnej Kruszwicy—tego niktby stanowczo powiedzieć nie umiał.

L. P.

[1]) *Ilios, Stadt und Land der Trojaner*, Leipzig Brockhaus 1881.

PRASSA POLSKA.

Biblioteka Warszawska i Ateneum za styczeń. Dwa miesięczniki nasze, do których chronią się zwykle niepodrobione i nierozproszone po innych pismach szersze studya naukowe, zasługują na baczniejszą uwagę. Nie odmawia im jej dzienna prasa nasza, ale najczęściej dla tego, że czuje zawsze głęboki respekt przed grubszą książką, do której nie zagląda i ze szczególną gotowością popycha koła tego wozu, co się ciężko

toczy. Oba zaś nasze wydawnictwa miesięczne posuwały się obładowane takim ciężarem, że po naszych niebitych i nieutorowanych drogach poważnego czytelnictwa ledwie dźwigać się mogły. Były to furgony, przewożące surowy lub obrobiony, stary materyał historyczny z archiwów na rynek popularny, gdzie tylko bardzo nieliczna publiczność go rozkupywała.

Od nowego roku oba nasze miesięczniki zdradziły chęć pewnej zmiany: redakcyę *Biblioteki Warszawskiej* objął dr. Plebański, były profesor Szkoły Głównej, *Ateneum* zaś—dr. Chmielowski. Na ile zmiana ta odbije się w treści i kierunku wydawnictw—nie wiemy; gdyż jakkolwiek nowi redaktorowie nie są w literaturze *homines novi*, przyjmowali jednak udział w dotychczasowem, zbiorowem kierownictwie swoich organów a nadto pozostaną może nadal od niego zależni. Zachodzi więc pytanie: czy będą tylko odpowiedzialnymi, firmowymi przedstawicielami swych spółek redakcyjnych, czy też kierownikami samodzielnymi?

Pytanie to staje się szczególnie wątpliwem w odniesieniu do *Biblioteki Warszawskiej*. Pominąwszy znaną jej zawisłość od arystokratyczno-klerykalnego koła protektorów, pierwszy styczniowy zeszyt nie zapowiada żadnego zwrotu. Rozpoczynają go „Skargi Orfeusza", wyśpiewane przez Felicyana zwykłymi tonami jego liry—silnej i dosadnej często, nienaturalnej i wymuszonej zawsze. Muza tego poety jest starą, przesadną dziewicą, która daremnie usiłuje być wdzięczną, czasem wszakże bywa bardzo wymowną.

„Odrodzenie i reformacya" p. Wojciecha Dzieduszyckiego jest widocznie kartką wydartą ze studyów autora i wklejoną w zeszyt *Biblioteki Warszawskiej*. Całkowity obraz tworzy ona o tyle jedynie, że zaczyna się od kropki i kończy kropką. Na obrazie tym widzimy kawał Danta i kawałek Macchiavellego, odmalowanych dosyć barwnie.

Cokolwiekbyśmy zarzucić mogli dwu pracom poprzednim, nie możemy im odmówić pewnej wartości i prawa do silnego zawstydzenia się sąsiedztwem z rozprawką p. J. Miena o „romansie naturalistycznym" we Francyi. Autor nietylko nie pojmuje i „nie lubi" pewnych objawów twórczości artystycznej, nietylko bardziej nas poznajamia ze swym gustem, niż z rodowodem i znaczeniem faktów, ale nadto, czerniąc swym krytycznym atramentem sumienie „nielubionych" pisarzów, rozśmiesza czytelnika dowodami ich występku. „Nic brudniejszego i mniej *patryotycznego* (!)—pisze on np. o szkole E. Zoli—jak zbiór ich nowelli p. t. *Le soirées de Médan*. Smutnego wyobrażenia nabrać można o *prywatnej* (!) i literackiej osobistości p. Zoli, widząc go na czele takich ludzi, a ktoby miał jeszcze *jakąkolwiek wątpliwość* co do ich *wewnętrznej*, istotnej wartości, niech przeczyta i zbuduje się *cyniczną* odezwą tych panów, umieszczoną we wstępie do owej książki. Brzmi ona mniej więcej w tych słowach". Czego w cytacie spodziewać się czytelniku? Jakichś okropnych, brudnych, *cynicznych* wyznań, usuwających wszelką *wątpliwość co do ich wewnętrznej wartości*? Naturalnie. Posłuchajmy, co mówią: „Nowelle, które tu podajemy, drukowano już dawniej: jedne we Francyi, drugie za granicą. Ponieważ jednak wydały nam się ożywione jedną i tą samą myślą przewodnią i hołdującemi jednej i tej samej filozofii, przeto podajemy je razem. Z góry przewidujemy napady ciemnej i przewrotnej krytyki, której już eśmy niejednokrotnie doświadczyli. Jedynem naszem staraniem jest stwierdzić tutaj nasze prawdziwe sympatye i wspólne literackie dążenia. Médan, 1 marca 1880 r." Czy już wszystko? Ani słowa więcej. Pióro ludzkie, rozpędziwszy się, wyskakuje często po za granicę dowodów; takie jednak bryknięcia zdarzają mu się bardzo rzadko. Co autora zmuszało do przytoczenia odezwy tych uprawiaczów „zbrodniczej literatury skandalu"? mógł przecie o niej tylko wspomnieć i czytelnik byłby mu uwierzył na słowo, że ona jest „cyniczną", że daje smutne wyobrażenie nawet o „prywatnej" osobistości p. Zoli i przekonywa, jaka to zbójecka gromada moralnych rzezimieszków około niego się uwija. Poznawszy to skromne stwierdzenie „wspólnych literackich dążeń", nikt go nie uzna za „cyniczne", jeśli nie bierze udziału w „napadach ciemnej i przewrotnej krytyki."

Zaznaczyliśmy w rozprawie jeden szczegół, chociaż jest ona niewyczerpaną kopalnią zdań rozlatujących się jak pyłki przy lada dmuchnięciu. Dość powiedzieć, że autor, zapisawszy 16 stronic o Zoli i nakreśliwszy nawet genealogię jego bohaterów, powiada w końcu do czytelnika: „Odwróćmy oczy od tego wstrętnego obrazu." Odwracamy...

Pomijając dalszy ciąg powieści Castelara („Siostra miłosierdzia"), znajdujemy przegląd teatralny za r. 1879 i pierwszą połowę 1880. Jest to bardzo sumienne i gruntowne sprawozdanie z półtoraletniej działalności sceny warszawskiej. Autor zna niewątpliwie wszystko, o czem mówi, sąd ma trafny i wyrobiony, ale go często zaciemnia nieścisłością swoich określeń. Tak np. na str. 73 wpadamy w wir sprzecznych z sobą wyrażeń, które nie pozwalają odgadnąć, czy utwór p. Lubowskiego jest „ściśle realnym", czy też jego postacie „przemawiają czasami zbyt jednakowym językiem"; czy posiada „wartość literacką", czy potrzebuje „stylistycznego podniesienia całej roboty", czy ma „rodzajową barwność", czy też jest „zbyt suchym."

P. Skomorowski, podał kilka notatek" z dziedziny przyrodoznawstwa"; p. Żychliński zestawił obok siebie szereg faktów „kroniki poznańskiej," nie zadawszy sobie nawet trudu nawleczenia ich na nić bodaj stylistycznego związku.

Nie wspominamy nawet z imienia o innych, po większej części króciutkich, czysto kronikarskich artykulikach; zwracamy natomiast uwagę na „krytyczny obraz nowszych usiłowań na polu badań historyozoficznych" p. S. Smolikowskiego, który jest ozdobą całego zeszytu *Biblioteki*. Autor przy rozbiorze dzieła Rocholla nakreślił treściwy i przejrzysty szkic usiłowań w zakresie filozofii historyi, w którym zapisał lubo ze zbyt powiększonem znaczeniem i nasze próby. P. S. stara się tej „nowej gałęzi wiedzy ludzkiej" wywalczyć stanowisko odrębne, chociaż nie odznacza wyraźnie jej granic. I odznaczyć—zdanie naszem—nie może. Rozdzielanie pola wiedzy rozmaitymi kresami jest zawsze sztucznem: kopiemy rowy, sypiemy kopce—grunt jednak poznania spodem się łączy. Co do filozofii historyi zaś posiada ona mniej niż jakakolwiek inna dziedzina własnego gruntu i jest tylko historyą, podniesioną do wyższej potęgi uogólnienia.

Zamykając uwagi nasze o *Bibl. Warszawskiej*, dochodzimy do wniosku, że ona w zeszycie tegorocznym nie objawia żadnych dostrzegalnych zmian, jest obrazem ruchu umysłowego konserwatywnie przyćmionym, odbijającym fakta spóźnione a nadto wysuwającym na światło tylko objawy myśli zdrętwiałej.

Daleko większem ożywieniem odznacza się styczniowy zeszyt *Ateneum*. Sama obfitość włożonego weń materyału, więcej niż zwykle artykułów krótkich, śpiesznie rejestrujących świeże objawy życia umysłowego, nadają książce niezaprzeczony ruch. Szkoda tylko, że ruch ten jest dość jednostronnym, prawie wyłącznie literackim. Odtrąciwszy powieść, opis podróży a wreszcie i wyczerpująco skreśloną przez Ignotusa „Walkę z centralizmem w Galicyi," pozostanie nam tylko szereg rozpraw i rozprawek krytycznych. *Ateneum* zawsze było zbyt literackiem a mało społecznem, i dla tego może zyskało ono mniej czytelników niż zasługuje. I w obecnym zeszycie najdrobniejsza książeczka jest przedmiotem starannego rozbioru, gdy tymczasem np. zniesienie akcyzy i zmniejszenie podatku od soli załatwione kilkoma pobieżnemi uwagami w „kronice miesięcznej". Z tego również względu, jakkolwiek satyryczne wynicowanie niedorzecznej książki J. Skrochowskiego: *O granicach wiedzy ludzkiej* dopełnione jest z talentem i znajomością rzeczy, uraczywszy się z krytykiem koziołkami umysłowymi sodalisa karlizmu, zapytujemy mimowoli: czy warto było aż na 15 stronnicach tyloma uderzeniami rozbijać ten dziurawy orzech filozoficzny? Z prac większych, oprócz rozpoczętej powieści Sewera „Przybłędy", o której nic jeszcze powiedzieć nie możemy i również rozpoczętych „Wrażeń z podróży" B. Rajchmana, które wahają się między turystowskim opisem kraju a spostrzeżeniami naukowemi, znajdujemy nadto artykuł o „pomnikach piśmiennictwa assyryjsko-babilońskiego", napisany przez I. Radlińskiego z właściwą temu badaczowi a u nas w tym kierunku wyjątkową erudycyą, a dalej część pierwszą znanego czytelnikom z publicznych lekcyj w Ratuszu studyum Spasowicza: „Tragiczna Szekspirowska historya o księciu duńskim Hamlecie." Jest to praca wielkiej głębokości w zbadaniu i wielkiej siły w przedstawieniu przedmiotu. Spasowicz należy do bardzo nielicznych krytyków, obdarzonych wysoce rozwiniętym zmysłem artystycznym; nie skubie utworu na strzępki, ale go ogarnia, przenika i wrażliwie odczuwa wszystkie piękności, które następnie umie wyrazić z niepospolitą energią.

Nie rozglądamy się szczegółowo w pracy W. Smoleńskiego „Szlachta w świetle opinii XVIII w." gdyż nad nią i nad jej dopełnieniem dawniej w *Ateneum* pomieszczonem a obecnie w osobnej odbitce wydanem zastanowimy się osobno. Wspomnieć więc tylko jeszcze nam wypada, o dwu listach (francużkich) Kościuszki, odnalezionych i przesłanych redakcyi przez T. Wierzbowskiego. Drobna to, ale miła pamiątka po najzacniejszym polaku.

Oto w głównych tytułach treść styczniowego zeszytu *Ateneum*, napełniająca niezawodnie jego czytelników wiarą w szczere i niezmordowane starania redakcyi, które dr. Chmielowski tylko spotęgować może.

LIBERUM VETO.

Życie jest snem.—Jak narody sypiają.—Ziewanie i marzenia prassy rosyjskiej.—My za jej przykładem.—Deszcz reform papierowych.—Wykład widzeń w sennikach.—Co znaczy przyjazd ministra Greigha i dla czego wezwano wysokich urzędników.—Przenoszenie i dymisyonowanie.— Sen trzeźwego pisarza o przymusowem nauczaniu.—Metamorfoza żydów.—Niewinna zabawka.—Sposób na rozkoszne sny.

Życie nasze jest co najmniej w $^9/_{10}$ części snem. Zdaje nam się, że wstawszy rano, aż do pójścia spać wieczorem przepędzamy cały dzień na jawie, myślimy i działamy zupełnie trzeźwo; tymczasem nieraz już nazajutrz przekonywamy się, że myśli i czyny nasze były senne, że nie rozpoznawaliśmy dokładnie ani celu, ani drogi, ani przeszkód. Bezwzględna świadomość jest stanem, do którego nawet bogowie dojść nie mogli, skoro pomimo swej wszechwiedzy musieli poprawiać nieprzewidziane usterki świata. A jeżeli bogowie zasypiają, to ileż śmiertelni, jednostki i całe narody spać muszą! Bywa rozmaicie. Czasem

tak chrapią, że ich dobudzić się nie można, to znowu lekko drzemią, inni wreszcie razem z utkwionym w jeden punkt wzrokiem słodko lub gorzko marzą. Otóż zdaje mi się, że w tym ostatnim stanie my się obecnie znajdujemy.

Przed rokiem rozbudzona z twardego snu prassa rosyjska zaczęła głośno ziewać, przeciągać się, chwilę drzemać, wreszcie otworzywszy oczy marzyć o... niebieskich migdałach. Jedni widzieli wynurzającą się z ciemności, niezwykłego blasku jutrzenkę, drudzy—rodzącego się z popiołów sfinksa, inni słyszeli głos apostołów prostujących ścieżki oczekiwanemu mesyaszowi, innym trzeszczały w uszach gwałtowne przewroty społeczne, innym migały barwy wspaniałej tęczy, a wszyscy dostrzegali rzęsisty deszcz orzeźwiający spieczoną ziemię. Najlżejszy stuk wydawał im się grzmotem dział obwieszczających wielkie nowiny, każde słowo—chórem uroczystej pieśni, każdy ruch — nadzwyczajnym pędem. Rozciągano fakta, dopowiadano myśli, rozdymano słowa.

Przypatrując się i przysłuchając temu marzeniu i my pomału zaczęliśmy mu ulegać. Zaczęliśmy powtarzać za gazetami rosyjskiemi przeróżne wieści, projekty, reformy, ważne zmiany, które zebrawszy dziś w tej postaci, w jakiej one się po dziennikach naszych przesunęły, otrzymalibyśmy obraz państwa, w którymby nie było ani jednego może rysu obecnej jego postaci. Przepisując we śnie rosyjskie rojenia, przebudowaliśmy z gruntu wszystkie stosunki.

Daremnie rzeczywistość podsuwała nam prawdę, my dotąd jeszcze kreślimy sobie w wyobraźni fantazyjne pejzaże. Gazety rosyjskie stały się dla nas polityczno-społecznymi sennikami, w których szukamy ciągle wykładu i objaśnienia zagadkowych widzeń. Jeżeli nam się przyśni ogień, to nie obawiamy się pożaru, ale nauczeni wykładem sennika czekamy na pieniądze. Jeżeli patrzyliśmy we śnie na umarłego, to znaczy, że nas ktoś obmawiać będzie. Podobnie i w sprawach ogólnych.

— Co to znaczy—pytał mnie raz gorliwy polityk prywatny—że minister Greigh przyjechał do Królestwa?

— To znaczy—odrzekłem—że minister Greigh—przyjechał do Królestwa.

— No, ale objaśnij mi pan, dla czego był na Giełdzie, a nie był w Banku Polskim.

— Dla tego zapewnie, że chciał obejrzeć Giełdę, a nie chciał oglądać Banku Polskiego.

Wtedy, niezadowolony mojemi odpowiedziami jeden z wielu braci śpiących, zaczął mi przytaczać rozmaite objaśnienia senników prasy rosyjskiej, według których nie pozostawało nam nic innego, jak tylko co prędzej wycofać wszystkie depozyta, kryjące się w skrzyniach Banku.

Innym razem, gdy doniesiono, że dostojnicy sądowi i administracyjni z Królestwa wyjechali do Petersburga, zagadnął mnie znowu brat senny:

— Co to ma znaczyć?

— To ma znaczyć—odpowiedziałem—że ich wezwano w sprawach służby.

Wróżbita pokręcił głową, bo mu sennik dziennikarski mówił inaczej.

Nie mógłbym zliczyć, ile „grubych figur“ senniki te przeniosły na inne posady lub uwolniły od obowiązków. Tymczasem, jeśli mnie pamięć nie myli, tylko jeden dyrektor gimnazyum przeniósł się z Warszawy do Nowoczerkaska i jeden niezmiernie uczony profesor uniwersytetu, który wynalazł „półgraniczoną“ wolę, opuścił katedrę dla udoskonalenia w ciszy tego pięknego wynalazku.

Żal budzić śpiących i marzących rozkosznie. Nie chcę też zbyt silnie targać i przyprowadzać do przytomności tych, dla których—mówiąc słowami poety —może „tyle szczęścia, co się prześni.“ Chcę tylko zaznaczyć nasze usposobienie do rojenia na rozmaite tematy życia publicznego. Najtrzeźwiejszym u nas ludziom kleją się powieki. Niedawno otrzymałem artykuł bardzo rozważnego pisarza, który z pajęczych nitek nadziei utkał taki mniej więcej obrazek przyszłości. Maluczko, a w deszczu nowych „papierów“ spadnie do nas rozporządzenie przymusowej oświaty, obowiązującej wszystkie pokolenia. Nawet starzy wieśniacy będą musieli chodzić do szkoły. Prawo to wywoła szczególny popłoch między ciemnymi żydami. Nikomu bowiem, kto nie będzie umiał po polsku czytać i pisać, nie dozwoli ono spełniać nawet najniższych urzędów, zawierać aktów, wystawiać wekslów, trudnić się przemysłem i handlem, słowem spełniać jakichkolwiek czynności prawnych. Wtedy powstanie wielki gwałt na Nalewkach i Wołowej. Jedni rzucą się do szkół elementarnych, drudzy kupią sobie fałszywe świadectwa, najbogatsi zaś lichwiarze włamią się do mieszkań Promyka i Dygasińskiego, zaczną ich sobie wydzierać i błagać o lekcye. W walce tej Promyk i Dygasiński albo polegną, albo zrobiwszy olbrzymie majątki, wezmą do wspólki kanalizacyę Warszawy. W każdym razie cały nakład elementarzów i „krótkich gramatyk“ zostanie rozchwytany, *Izraelita* skończy swój błogosławiony żywot, wszystkie maszyny drukarskie, odbijające dziś Talmud, ustaną, chejdery wymyją się i zamienią na składy wędlin, melamedzi zwrócą się do pasienia gęsi, koszerne mięso nie będzie miało żadnego odbytu, urzędowi rzezacy zajmą się ściąganiem skór w szlachtuzach, rabini założą kantory mamek, kahalni sprobują udzielać lekcyj tańca—w ogóle nastąpi gruntowna metamorfoza, która uczyni p. Jeleńskiego całkiem zbytecznym dla literatury.

Tak śnił trzeźwy autor, najmocniej przekonany, że myśli na jawie, i że napisał rozprawę, na którą rzeczywistość tylko czekała, ażeby ją literalnie spełnić. Nie znaczy to wcale, ażeby przymusowa oświata była niemożliwą, ażeby nie wywołała przynajmniej części tych zjawisk, które zaznaczyliśmy wyżej; ale to prawda, że naszym prawnukom włosy posiwieją, zanim ona się urzeczywistni. Tymczasem, we śnie i na jawie, możemy jedynie bawić się tak zwaną kwestyą żydowską, kwestyą podniesienia ludu i tym podobnemi łamigłówkami, które nie przynoszą nikomu korzyści, ale też nie wyrządzają szkody. Szmul i Bartek nic o naszem filozofowaniu nad nimi nie wiedzą, my zaś znajdujemy w niem rozrywkę, która ćwiczy zdolność ostrego temperowania pióra.

No, dobranoc wam, bracia śpiący. Weźcie jakikolwiek dziennik i przeczytajcie doniesienia o nowych „zmianach“ lub „reformach“ mających „wkrótce“ nastąpić—„jak zapewniają gazety rosyjskie“—a niezawodnie polityczno-społeczna drzemka z najroskoszniejszymi snami uda się wam wybornie.

Poseł prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Dzielne zawsze Mazowsze, czyli po dzisiejszemu gubernia Płocka, wyróżnia się z pomiędzy wszystkich okolic kraju, nawet w obecnej porze zapust, gdy „całe społeczeństwo“ w pocie czoła się bawi. W Lublinie, Kaliszu, Piotrkowie, Kielcach, Suwałkach i t. d. obywatele i obywatelki stroją się, tańczą i „konkurują,“ oszukują się na posagach, potrosze żenią a w czambuł zaciągają długi u współobywateli zupełnego wyznania, poczem następuje zwykły łańcuch skutków, wypływających logicznie z przyczyn, aż pan komisarz sądowy nasypie popiołu... chciałem powiedzieć — zrobi zajęcie, pobudzając talenta wynalazcze do poszukiwań nowych sposobów rozpoczęcia tej samej historyi na nowo. W Płockiem tymczasem... no, co prawda i tam niepokalana jeszcze „zgnilizną zachodu“ część społeczności robi to samo, co robią w lubelskiem, kaliskiem i t. d. Ale Płockie, które wydało przecież Jackowskiego, zbiorowej działalności publicznej nie ogranicza na służbie pod chorągwią karnawału. Na *sezon* naprzykład tegoroczny przyjęto tam chwalebny zwyczaj dyskusyi publicystycznej w organie miejscowym, na tematy różnych spraw społecznych. Jestto zabawa niezaprzeczenie szlachetna, niewinna, a chociaż losów Europy z pewnością nie podźwignie, toć przecież trudno tego wymagać od zabawy, która jeśli tylko jest zajmującą a uczciwą, zadanie swoje spełnia. Że zaś tak jest z zabawą płocką, sami osądźcie: Niejaki pan „Agrycola“ wypisuje w *Korespondencie* gorącą „reprymendę“ pannom, dowodząc, że nic nie robią, tylko się stroją. Na to odpisuje panna „Agrycolanka,“ że zarzut pana Agrycoli jest niesłuszny, ponieważ... ponieważ... to co on pisze o pannach, jest — nieprawdą. Argumentów pozytywnych brakło pannie Agrycolance; występuje więc z interwencyą pan *Z.* z Mławskiego i wywija program publicznej działalności dla panien, a to na niwie—oświaty ludowej.

Rzecz niezaprzeczenie ciekawa, posłuchajmy więc, jak pan Z. swój program stawia.

„Dziś po naszych wioskach—mówi on—ochota do nauki jest tak wielką, że potrzebaby tylko niekiedy *wskazać*, *poprowadzić*, *dopomódz*, a uczyliby się *sami*. Wskazywano mi takich samouków, już w średnim wieku gospodarzy, którzy, przy wskazówkach swych sąsiadów, nauczyli się w krótkim czasie wcale dobrze pisać. Jakżeby, przy takiem samouctwie pomoc panien naszych była pożyteczną i pożądaną! Pomoc ta mogłaby być jeszcze innego rodzaju; myślę tu mianowicie o dostarczaniu książek i pisemek. Lud nasz słucha bardzo chciwie wiadomości z głębi kraju; miałem tego liczne przykłady, bawiąc podczas wakacyj na wsi. Udzielane im opowiadania o tem, co w gazetach piszą, rozchodziły się po wsi niezmiernie szybko. Powódź w sandomierskiem zrobiła na nich ogromne wrażenie; słyszałem, jak ubolewali nad nieszczęśliwymi i jak rozważali, gdzieby ten Sandomierz leżał. Otóż te pouczające rozmowy *panien* z wieśniakami zaradziłyby najdoskonalej i *usunęły* ich nieświadomość...“ Niepotrzebaby i wielkiej pracy do nauczenia ich *czegośkolwiek*, a tylko chęci do spełnienia tego *obowiązku*. Książki lud kupuje chętnie... Chętnie poświęci nawet parę złotych na kupienie, ażeby tylko książka była dlań pożyteczną; obowiązkiem winno być naszym zrobić z pomiędzy wielu *wybór*. Jakżeby to poczciwie było, gdyby każda z panien rocznie o parę rubli mniej wydawała na wstążki, gałganki, a za tę zaoszczędzoną sumkę (choćby 2, 3 ruble) kupiła pożytecznych dziełek dla swej wioski. Pewna nauczycielka trzyma *Zorzę* dla wsi, w której pełni swój obowiązek. Przykład do naśladowania! i t. d.“

Oto, czego wymaga pan Z. od — panien. Podkreśliliśmy w jego programie niektóre wyrazy, aby uwydatnić zakres działania, któremu w opinii pana Z. z Mławskiego mają podołać wątłe siły naszych „uroczych i idealnych“ dziewic, wychowanych w dodatku tak, jak nasze panny wychowywane bywają. Nic więcej, jak tylko: kupić książki, wskazać, poprowadzić, dopomódz, zrobić wybór—nic więcej. Czyżby pan Z. a z nim *Korespondent Płocki* sądził, że to mały kawał pracy? Nam się zdaje, iż wystarczyłoby to na pełną trudu działalność dla całych sił zbiorowych ojców owych panien, którym pan Z. takie „obowiązki“ na wątłe barki wkłada. Czy nie zachodzi tu mała

pomyłka w adresie? Nie mamy nic przeciw temu, aby „panny“ pracowały nad oświatą ludu, ale to sprawa za poważna, aby ją składać jako *powinność* w dziewicze rączki, a w ostatecznym rezultacie przyszlibyśmy do tego, że za ciemnotę ludu pociągalibyśmy do odpowiedzialności nasze—panny, które same—mówmy szczerze—uczyćby się trochę więcej i lepiej powinny.

Przewiduję zarzut, jaki zwykle się u nas robi, gdy projekt jakiś podpada pod krytykę: „wymyśl lepszy!“ Otóż na ten raz przychodzi mi w pomoc sam *Korespondent Płocki*, w którym znajduję obszerny opis tego, co dla sprawy oświaty zrobił w swoim majątku pan Mayzner, właściciel cukrowni w Glinojecku pod Mławą. Własnym kosztem założył ten *obecny* obywatel szkołę dla dzieci robotników fabrycznych, do której jednak włościanie, za bardzo małą opłatą na rzecz nauczyciela, mogą swoje dzieci posyłać. A szkoła to nie byle jaka! Oto, co o niej opowiada *Korespondent*: „Szkoła mieści się w nowym, obszernym i dobrze oświetlonym domu, dwa wentylatory dobrze urządzone wprowadzają ciągle dostateczną ilość świeżego i ogrzanego powietrza, ławki zbudowano bardzo wygodne i odpowiadające wszelkim wymaganiom hygieny i pedagogiki. Ściany pokryte tablicami, przedstawiającemi już to obrazkową naukę czytania i arytmetyki, już to zwierzęta, machiny i sprzęty gospodarskie; w sieni ciepłej dzieci zostawiają wierzchnie ubranie, przez to unikają zaziębień, siedząc w stancyi w tem samem ubraniu, co na dworze, a zarazem ubranie wierzchnie, po większej części w porze słotnej mokre, nie psuje powietrza w szkole, w sieni są słomianki i żelazka do wycierania nóg, dziecko tym sposobem przyzwyczaja się do porządku; jednem słowem nie zapomniano najmniejszych szczegółów w urządzeniu zakładu naukowego.“ Nadto pomocnicze środki do nauki dzieci biedne otrzymują darmo, zamożniejsze po cenie kosztu. Dalej zakłada się czytelnia, gospoda itd.—Ten przykład zatem chcielibyśmy zalecić do naśladowania. Ależ nie wszyscy—powie mi pan Z.—mają dość pieniędzy na podobne fundacye! Zapewne, nie wszyscy, lecz bardzo wielu. Gdyby tylko wszyscy owi sławni *nieobecni*, za którymi taką tęsknotą zawodzi prasa nasza, poczuli się do obowiązku jak pan Mayzner, który należy widocznie do nielicznych *obecnych* choć nieproszonych, nie potrzebowalibyśmy troski o oświatę ludu składać na — panny.

St.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 21 stycznia.

Oddawna Austrya odznacza się „silną konsumcyą ministrów“; zmiany więc gabinetowe a szczególniej tak zwane „rekonstrukcye“, często zachodzące w Wiedniu, nie wywołują wielkiego wrażenia, tem bardziej, że powolne przekształcanie systemu pozostaje w odwrotnym stosunku do szybkich zmian dekoracyj ministeryalnych. Wyjątek do pewnego stopnia stanowi najnowsza zmiana częściowa, w tych dniach dokonana. Minister handlu Kremer i minister sprawiedliwości Streit ustąpili z gabinetu „z powodu różnicy zdań,“ zachodzącej między nimi a większością kolegów, którą uwydatniły podobno rozprawy nad nominacyą nowych członków Izby panów. Panowie Kremer i Streit, jakkolwiek w gruncie rzeczy urzędnicy a nie reprezentanci stronnictwa, mieli jednakże, jako niemcy z narodowości, osłaniać formę koalicyjną gabinetu, który nie chciał się uznać za rząd stronnictwa, wypisawszy na swoim sztandarze dążność do pogodzenia zwaśnionych żywiołów. Ustąpienie więc tych dwóch parawanów równocześnie ujawniło znowu bezpodstawność stanowiska, jakie zajął hr. Taaffe „między stronnictwami“ i popchnęło ministerium o krok dalej po naturalnej pochyłości ku prawicy. Przez nominacyę namiestnika Austryi wyższej, barona Pino, na ministra handlu, hr. Taaffe usiłuje jeszcze odświeżyć wyblakłą barwę dotychczasową, wszelako już samo powierzenie kierownictwa wydziału sprawiedliwości czechowi, dr. Prażakowi, dźwigającemu dotychczas tylko tytuł bez teki, znamionuje pewien postęp w kierunku na prawo. Centralistyczne organa prasy austryackiej wydały okrzyk zgrozy na tę nową zmianę, która logicznie z ich stanowiska usprawiedliwić się nie da. Prasa ta zaprzeczała przecież gabinetowi Taaffe charakteru bezstronniczego, mianowała go zawsze rządem prawicy *Reichsratu*, nie powinna więc była i w ostatniej zmianie widzieć czegoś nadzwyczajnego. Oburzenie jednak i krzyki dzienników centralistycznych dowodzą tylko, jak nieszczere były poprzednie ich opinie o gabinecie i jak ten gabinet dalekim był jeszcze od idei federalistycznej, którą mu przeciwnicy uporczywie zarzucali. I dziś jest on równie od niej dalekim, pomimo najnowszej „rekonstrukcyi“, a jeśli prąd obecny austryackiej polityki wewnętrznej nie natrafi na jakąś nieoczekiwaną tamę, to chyba i sam hr. Taaffe z czasem będzie musiał przed nim ustąpić.

Nadzwyczaj długo ciągnąca się w Izbie gmin rozprawa nad adresem do królowej powoduje, że parlament angielski nie mógł jeszcze dotychczas przystąpić do głównych spraw, dla których właściwie został wcześniej zwołany, mianowicie do bilów irlandzkich. Ostatecznie, aby się uchronić od tej „obstrukcyi,“ rząd zamierza wnieść ograniczenie wolności mowy pod względem ilości razy zabierania głosu przez jednego deputowanego i rozciągłości mów, spodziewając się, że tym sposobem wyjątkowego odstępstwa od zasady konstytucyi angielskiej, która pozwala każdemu wygadać się, ile się spodoba, zapobiegnie nadzwyczajnemu przeciąganiu rozpraw, gdy kwestya bilu ziemskiego i bilu o środkach represyjnych przeciw ruchowi irlandzkiemu wejdzie na porządek dzienny. Obliczono, że w obecnych warunkach dyskusya nad temi sprawami mogłaby zająć przynajmniej cztery miesiące czasu—okres dla rządu i Anglii w każdym razie za długi wobec ciągłego wzrostu znaczenia ligi ziemskiej w Irlandyi. Jak zaś potężną czuć się musi organizacya irlandzka, wnosić można ztąd, że Parnell otwarcie wypowiedział w parlamencie, iż polityczna niezawisłość Irlandyi jest jego ideałem, że obydwa narody: irlandzki i angielski żyć mogą obok siebie w przyjaźni i zgodzie, nie potrzebując się uciekać do krwi rozlewu. Pewne zdumienie ogarnęło Izbę na te słowa, a Northcothe pospieszył stwierdzić ze zgrozą, że ton i treść mowy Parnella były takie, jakby on dzierżył władzę równą władzy korony.

Na wschodzie sprawa grecka więznie jeszcze w bagnisku konszachtów dyplomatycznych. Projekt sądu polubownego błąka się jeszcze od gabinetu do gabinetu, lecz uważany jest powszechnie za rzecz umarłą. Natomiast Porta proponuje nową konferencyę ambasadorów w Konstantynopolu. Państwa europejskie na tę propozycyę jeszcze nie odpowiedziały, los jej przeto dotychczas niezdecydowany, jak los całej sprawy.

Książę Milan serbski otworzył w dniu 16 b. m. sesyę skupczyny mową tronową, która wywarła niemałe wrażenie w Europie. Książę wyraził tam wdzięczność dla Austryi za poparcie jakiego od niej doznała Serbia na kongresie berlińskim i w ogóle wytknął dość wyraźną drogę przechylenia się w objęcia monarchii habsburgskiej. Dotąd układy o traktat handlowy między Austryą a Serbią idą tak opornie, że wielkiej ufności wzajemnej nie dowodzą; może mowa tronowa ks. Milana zainauguruje faktycznie nowy zwrot, któryby wydał nieobliczone następstwa w ułożeniu ostatecznem stosunków bałkańskiego półwyspu.

Ks. Bismark przebywa od 10 dni w Berlinie, jednak czynnie dotychczas na widownię nie wystąpił.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W izbie sądowej warszawskiej otwarty został nowy cywilny departament a to wskutek wielkiej zaległości nieosądzonych w niej spraw.

— Ministeryum skarbu wypowiedziało zagranicznym bankierom sumy, pozostawione u nich na bieżącym rachunku. Sumy te w ilości rs. 120 milionów wpłyną do kasy Banku Państwa.

— P. Dubeltowicz, inżenier, mianowany został dyrektorem mających się budować w mieście naszem tramwajów przez towarzystwo belgijskie, które uzyskało koncessyę na to przedsiębiorstwo.

Literatura polska. Koło literackie we Lwowie wydało przed kilku dniami album prac literackich przeważnie swych członków. Sumę, osięgnąć się mającą ze sprzedaży zbiorowej tej publikacyi, przeznaczono dla ofiar trzęsienia ziemi w Zagrzebiu. Tytuł albumu — „Dla Zagrzebia.“ W liście literatów, którzy prace swe w publikacyi tej pomieścili, czytamy między innymi nazwiska: J. I. Kraszewskiego, dra. Małeckiego, dra Liskiego, Aurelego Urbańskiego, Juliana Horaina, dra Ochorowicza, Alberta Wilczyńskiego, Tretiaka i innych. Nestor powieściopisarzy naszych ofiarował do albumu kilka słabych, rymowanych urywków.

— P. Henryk Grabiński wydał we Lwowie pracę p. t. *Szkoła rysunku krajobrazów* podług studyów z natury.

— Nowa powieść J. I. Kraszewskiego p. t. *Dwa bogi, dwie drogi* wyszła nakładem p. Sawickiej w Mińsku gubernialnym.

— We Lwowie ukazała się jednotomowa powieść J. I. Kraszewskiego p. t. *Pan z panów.*

— Firma Gubrynowicza i Schmidta wydała *Mozajkę, gawędy szlacheckie z lat ubiegłych,* Berlicza Sasa. Początek utworu tego drukowany był dawniej w jednem z pism warszawskich, całość wydana po raz pierwszy.

— Taż firma puściła w świat drugie wydanie *Ekonomii społecznej* prof. Leona Bilińskiego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czytelnikowi. Zestawienie dwu faktów współczesnych nie jest jeszcze związaniem ich w stosunek przyczyny do skutku. Jeżeli powiemy, że Aristoteles żył na dworze macedońskim, to nie znaczy, że filozofię arystotelesowską wytworzyła utrata bytu politycznego Grecyi. To tylko w poruszonej przez Pana sprawie jest naszem przekonaniem, że naród, wyparty z jednego kierunku, często rozwija się w drugim. Co do dobroczynnego wpływu arystokracyi, zamiast Anglii lepiej przytoczyć Irlandyę — a wątpliwość się rozjaśni, jeśli ona istnieje dla polaka, znającego swoją historyę.

P. G. Słusznie. Krakowski nasz korespondent pomylił się, gdyż strawestowano wiersz „Do matki polki“ nie Mickiewicza, lecz Krasińskiego.

Sprostowanie. W numerze poprzednim (3) str. 28 *Ona* 1 szp. w. 19 od dołu zam. *prawdopedobnie* czyt. *prawdopodobnie*; tamże szp. 2 w. 8 od góry zam. jeść *je zechą* czyt. *jeść je zechcą*; str. 33 *Teatr polski* szp. 1 w. 5 zam. *sceniczniczną* czyt. *sceniczną*; str. 34 szp. 1 w. 10 zam. 70 *funt.* czyt. 50 *funt.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Января 1880 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.